



Zalesie Dolne

Nr 4/2011

Bezpłatne pismo lokalne, bez reklam i ogłoszeń

„Człowiek cywilizowany widzi więcej niż barbarzyńca – mówili niepoprawni politycznie Grecy i Rzymianie, założyciele cywilizacji zachodniej. Podział na ludzi cywilizowanych i barbarzyńców trwa do dziś. Inwazje barbarzyńców zdarzają się...”

Co barbarzyńca widzi na centralnym Mazowszu? Glebę. Piaski, laski – grunt. Setki, tysiące hektarów ziemi blisko Warszawy. Kilometry kwadratowe do zabudowania, zabetonowania, wyasfaltowania. Tam gdzie się da – największa intensywność, największa efektywność.

Miejscowości z duszą? Duszy barbarzyńca nie widzi...”

Grzegorz Kostrzewa-Zorbas, politolog, dyplomata, Prezes stowarzyszenia Ład na Mazowszu

W numerze m.in.:

- Manula Kalicka, **Były bale** – o balach i karnawale na przestrzeni wieków, s. 8
- **FAUNA ZALESIA** tym razem o ptakach. Na pytanie, czy je dokarmiać zimą, postara się odpowiedzieć Artur Koliński. O tym, że trzeba już teraz wieszać ptakom budki lęgowe – Joanna Kowalska-Nowak w artykule **Zamiast telewizji**, s. 10
- **SPOTKANIA ZE SZTUKĄ** – Mira Walczykowska o postrzeganiu dzieł sztuki, s. 15
- **ZALESIE A W NIM** – o tym, że reklama może być antyreklamą, a czystość w przestrzeni publicznej zależy głównie od nas, s. 21, 22

Parafia w Zalesiu Dolnym ma już 60 lat. „Moje pierwsze wrażenie: teren ładny, dużo zieleni, cisza, kolejka wąskotorowa, rzeka, Górki Szymona i kaplica przy przystanku, malutka, drewniana, wciśnięta między dęby, które nad nią górowały. Wchodzimy do kaplicy, kiedy akurat na podwyższeniu przy fisharmonii grupa dzieci w kurtkach, czapkach i rękawiczkach miała próbę jasełek. Wnętrze kapliczki przytulne, modlitewne. Ołtarz główny piękny i dwa boczne też. I co najważniejsze ten sam Chrystus co u Św. Michała. Kłaniam się Tobie Panie Jezu i rozważam: przyprowadziłeś mnie tu Panie Boże z takiego wielkiego kościoła, z centrum Warszawy, do baraczk!” – z okazji 60-lecia naszej Parafii rozmowa z księdzem Kanonikiem Ireneuszem Jędrzyńskim na s. 3

Układ urbanistyczny Zalesia Dolnego jest pod ochroną Konserwatora Zabytków. Nowelizacja ustawy o ochronie zabytków z dnia 5 czerwca 2010 dostosowująca przepisy prawa polskiego do przepisów Unii Europejskiej była podstawą dla MWKZ, aby już teraz, nie czekając na decyzję Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego wpisać do Ewidencji Zabytków układ urbanistyczny Zalesia Dolnego w granicach objętych wpisem do Rejestru.

Podpisana 1 października decyzja o wpisaniu układu do ścisłego Rejestru oczekuje na zajęcie stanowiska przez MKiDN. Tymczasem na terenie Zalesia Dolnego obowiązują przepisy dotyczące innej formy ochrony

wynikającej z wpisu do ewidencji. **Wszelkie inwestycje na terenie tego obszaru wymagają uzgodnienia z Mazowieckim Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków.** Podjęta przez Konserwatora decyzja ma na celu powstrzymanie wszelkich nielegalnych rozbiórek czy nagminnego nielegalnego wycinania lub okaleczania drzewostanu na terenie Zalesia Dolnego. Ignorowane przez lokalne władze samowolki będą przedmiotem interwencji MWKZ.

Szczęśliwy rok
Józefa Wilkononia, s. 17



Wręczenie Złotego Berta Józefowi Wilkonioniowi (drugi od prawej)

Zalesie Dolne w nowej szacie graficznej

Pierwsze 3 numery naszej gazety ukazały się w szacie zielonej. Kolor ten jednak nie pozwalał na czytelny odbiór ilustracji stąd zmiana szaty na sepię. Mamy nadzieję, że Państwu spodoba się taka wersja. Będziemy wdzięczni za Państwa opinie.

Kalendarz z fauną Zalesia jest jeszcze do nabycia w siedzibie stowarzyszenia (prośba o wcześniejszy kontakt, tel. 22 757 25 88)



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
21	22	23	24	25	26	27	28	29	30
31	1	2	3	4	5	6	7	8	9



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
21	22	23	24	25	26	27	28	29	30
31	1	2	3	4	5	6	7	8	9

Absolwenci „Krauzówki” przygotowują publikację o historii swojej szkoły

W ciągu ostatnich 3 lat Towarzystwo Przyjaciół Zalesia Dolnego przygotowało 3 publikacje w cyklu *Zalesie Dolne – moje miejsce na ziemi*.

W pierwszym zeszycie opowiadającym o powstaniu 3 osiedli składających się potem na Zalesie Dolne została również zamieszczona krótka historia dziejów „Platerówki” opracowana przez stowarzyszenie absolwentów. Drugi zeszyt poświęcony był historii okresu okupacji w Zalesiu, trzeci jest zbiorem dokumentów wzbogacających wiedzę o Zalesiu i ludzi z nim związanych.

Aktualnie gromadzimy materiały do kolejnego zeszytu o Zalesiu. Razem z grupą nauczycieli, absolwentów „Krauzówki” pragniemy przygotować publikację dotyczącą historii szkoły podstawowej w Zalesiu Dolnym. Dzięki uprzejmości rodziny Radwanów oraz Ewy i Barbary Krauze udało nam się pozyskać niezwykle ciekawe i bezcenne dla nas materiały źródłowe, dokumenty i rękopisy. W większości dotyczą one historii nauczania w Zalesiu Dolnym. Tak więc czwarty zeszyt poświęcony będzie głównie czasom kierowania tą placówką przez Ewę Krauze, począwszy od pojedynczych kompletów w końcu 1939 roku, przez okres okupacji, okres powojenny, budowę nowej szkoły i okres do 1979 roku, kiedy to Ewa Krauze przeszła na emeryturę. Planujemy także napisać o czasach współczesnych, o nauczycielach i uczniach tej szkoły.

Wszystkich Państwa, którzy zechcieliby podzielić się z nami swoimi wspomnieniami czy archiwalnymi fotografiami, dokumentami, bądź zainteresowanych współpracą przy pisaniu tej publikacji zapraszamy do skontaktowania się z nami pod nr tel. 227572588 lub mailem na adres: zalesiedolne@op.pl.

Polecamy Państwu piękny tekst współzałożycielki szkoły w Zalesiu Dolnym Heleny Radwanowej z tomiku *Moje sny o Jezusku*, na s. 23

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o nagłym odejściu

Ś.P.

Jerzego Chmielewskiego

Prezesa Piaseczyńskiego Towarzystwa
Kolejki Wąskotorowej

Najbliższym składamy wyrazy głębokiego współczucia

Rada, koleżanki i koledzy
z Towarzystwa Przyjaciół Zalesia Dolnego

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Zalesia Dolnego, www.zalesie-dolne.pl; kontakt: zalesiedolne@op.pl, tel. 022 757 25 88

Zdjęcia: Joanna Kowalska-Nowak, Katarzyna Obłąkowska-Kubiak, Radosław Świetlik, Justyna Walczak, fot. archiwalne

Łamanie i redakcja techniczna: www.studiofuria.com.pl. **Korekta:** Elżbieta Kozak

Redakcja: Manula Kalicka, Joanna Kowalska-Nowak, Mira Walczykowska

Współpraca: Ewa Domaradzka, Anna Fryczkowska, Artur Koliński, Jan S. Jaworski,
Katarzyna Obłąkowska-Kubiak, Zbigniew Zawadzki, Elżbieta Żydak

Parafia w Zalesiu Dolnym ma już 60 lat

20 stycznia 2011 roku minęła 60. rocznica erygowania parafii NMP Wspomożenia Wiernych w Zalesiu Dolnym. Wydzielona została z parafii Jazgarzewskiej dekretem Ks. Arcybiskupa Metropolity Warszawskiego, Stefana Wyszyńskiego, dziś Sługi Bożego, którego 30. rocznicę śmierci wspominać będziemy w maju tego roku.

Starsi Zalesianie do dzisiaj z rozrzewnieniem wspominają drewnianą kaplicę, na początku mieszczącą tylko ołtarz, a potem stopniowo rozbudowywaną, która musiała przez wiele lat służyć jako kościół parafialny. Młodszym trudno dziś uwierzyć, że w lecie z powodu upału i tłoku zdarzały się częste omdlenia podczas niedzielnej Mszy świętej, a w zimie woda potrafiła zamarznąć w ampułkach na ołtarzu! Ale ludzie masowo garnęli się do kościoła, na uroczystości przychodziły tłumy, dzieci codziennie ciągnęły ulicą Modrzewiową ze szkoły na lekcje religii, w pierw na „starą” plebanie przy tejże ulicy, potem do salki katechetycznej na miejscu dzisiejszych Warsztatów dla Niepełnosprawnych. To parafia, oprócz spełniania podstawowej funkcji religijnej, była i ażylem wolności, kuźnią lokalnego patriotyzmu i „pogotowiem ratunkowym” dla potrzebujących. Miejscem inicjacji życia kulturalnego i towarzyskiego. Dzisiaj na szczęście wszystko wróciło do normalności. Parafia jest przede wszystkim centrum sprawowania kultu i prężnym ośrodkiem rozwoju duchowego, zwłaszcza dla olbrzymiej ilości różnorodnych grup i wspólnot, które przy niej działają, pilotowane przez zespół księży, na czele z obecnym Ks. Proboszczem i siostry Uczennice Krzyża. Jednak, mimo coraz większych podziałów wśród mieszkańców Zalesia, reprezentujących różne wizje rozwoju naszej miejscowości i różne opcje polityczne, wiele tej dawnej atmosfery „wielkiej rodziny parafialnej” wciąż pozostało i przekazywane jest młodszymi w sztafecie pokoleń. Warto to pielęgnować!

Chcemy przywołać nieco wspomnień z historii naszej parafii. Takie przypomnienie jest potrzebne, aby młodsze pokolenie mieszkańców, które urodziło się lub przybyło niedawno, szanowało „nasze miejsce na ziemi” i pamiętało o ludziach, którzy je współtworzyli dla dobra innych. O rozmowę poprosiliśmy



Ks. Kanonika Ireneusza Jędryszka, najdłuższego stażem naszego proboszcza i budowniczego obecnego kościoła parafialnego (a przedtem plebanii), który w parafii jest nieprzerwanie od lutego 1967 roku. Jak nikt inny potrafi On przywołać nastroje minionych dni, piękne chwile naszej wspólnej tradycji, ale i atmosferę trudnych lat sprzed transformacji ustrojowej, gdy dosłownie o wszystko trzeba było walczyć z władzami i niejednokrotnie podejmować trudne decyzje, omijając „ideologiczne” przepisy. Lat, w których do Zalesia przyjeżdżał prywatnie do swoich siostr Ks. Kardynał Wyszyński, a później wyjątkowego czasu, gdy Polaków ogarnęła euforia po wyborze na Stolicę Piotrową Jana Pawła II. Dla Zalesia oznaczało to wkrótce pozwolenie na budowę kościoła. A nasza euforia doszła do zenitu w czasie pamiętnej pierwszej wizyty Ojca Świętego w Warszawie i Mszy św. na Placu Zwycięstwa, ze słynną homilią kończącą się inwokacją do Ducha Świętego, by „odmienił oblicze tej ziemi”. To tylko Ks. Kanonik może zaświadczyć, że właśnie wtedy kamień węgielny naszego kościoła poświęcił Ojciec Święty, wkrótce nowy błogosławiony i przywołać entuzjazm, z jakim parafianie, pod przewodnictwem Proboszcza, rozpoczęli zaraz budowę kościoła godnego naszych aspiracji.

Cieszymy się więc, że Ksiądz Ireneusz pozostaje z nami, wciąż czynnie nam służy zadziwiając swoją kondycją, i że zechciał podzielić się swymi wspomnieniami. Dziękujemy Mu, życzymy błogosławieństwa Bożego i pełni zdrowia jak najdłużej!

Jan S. Jaworski

Autor jest prof. hab. Wydziału Chemii na UW,
diakonem, członkiem TPZD

Rozmowa z księdzem Kanonikiem Ireneuszem Jędrzyskiem na 60-lecie Parafii Najświętszej Marii Panny Wspomożenia Wiernych i na 44 rocznicę pobytu księdza Kanonika w Zalesiu Dolnym

Ks. Prymas Stefan Wyszyński:

„Chrystus króluje taki sam w ubogim, drewnianym kościółku, jak we wspaniałych bazylikach.”

JKN. Jak to było, kiedy ksiądz się dowiedział, że będzie proboszczem w Zalesiu Dolnym. Co księdza tu zaskoczyło mile, co urzekło? Jakie było pierwsze wrażenie?

Ks. J. Duszpasterstwo jest jak wędrówka drogą. Miejsca się zmieniają, ale droga jest ta sama i cel cały czas ten sam. To nie ważne gdzie kapłan służy, idzie tą samą drogą. Ale przyszedł moment, na pracę samodzielną i bardziej odpowiedzialną niż dotychczasowa. Miałem trochę doświadczenia. Byłem w kilku parafiach. Najdłużej byłem w parafii św. Michała w Warszawie, bo aż 10 lat. I stamtąd było moje bezpośrednie przejście, nastawione na tę samodzielność. Za to, gdzie miałem przejść, był odpowiedzialny ksiądz proboszcz parafii św. Michała i wikariusz generalny prymasa Wyszyńskiego. Zaczęło się od wizytacji parafii przez Księdza Prymasa. Po niej ksiądz proboszcz usłyszał, że trochę długo u siebie przetrzymuje księży wikariuszy, a może oni byliby dobrymi proboszczami. Powiedział nam „kochani nie ma wyjścia, bo już tu siedzicie dość długo u mnie”. Tak się składało, że ja tam byłem dziesięć lat wikariuszem i prefektem, więc byłem w tej kolejce pierwszy. Po tygodniu od pierwszego sygnału, że będę przydzielony do innej parafii, ksiądz proboszcz powiedział mi: „zwalnia się miejsce w Zalesiu Dolnym, tzn. trzeba dokonać zmiany, bo tam ksiądz jest już długo. Chce się przenieść do innej parafii, ze zdrowiem nie bardzo, bo jakiś czas w był więziony.(chodziło o księdza Antoniego Czajkowskiego). No, więc tam trzeba działać. Tam trzeba tworzyć parafię. Ludzi przybywa.”

Kiedy ksiądz pierwszy raz przyjechał do Zalesia?

Było to kilka dni przed ingresem. Znajomy ksiądz Jacek, który dobrze znał Zalesie Dolne, bo tutaj odprawiał mszę św. Prymicyjną, tutaj mieszkali jego rodzice i rodzina, dobrze mnie do Zalesia nastawił. Pierwszy raz właśnie z nim wybrałem się zobaczyć przyszłą parafię. Moje pierwsze wrażenie: teren ładny, dużo zieleni, cisza, kolejka wąskotorowa, rzeka, Górki Szymona i Kaplica przy przystanku, malutka, drewniana, wciśnięta między dęby, które nad nią górowały. Wchodzimy do kaplicy, kiedy akurat na podwyższeniu przy fisharmonii grupa dzieci w kurtkach, czapkach i rękawiczkach miała próbę jaselek.

Wnętrze kapliczki, przytulne, modlitewne. Ołtarz Główny piękny i dwa boczne też. I co najważniejsze ten sam Chrystus, co u św. Michała. Kłaniam się Tobie Panie Jezu i rozważam: przyprowadziłeś mnie tu Panie Boże z takiego wielkiego kościoła, z centrum Warszawy, do baraczku! I tak od razu przyszło mi jakieś światło, że to nie jest źle. Bo kiedyś takie mi myśli po głowie chodziły, żeby na misję gdzieś wyjechać. Bo tam tak autentycznie, tak pobożnie, a nie tak nadzwyczajnie wszystko ułożone. No i tak mam! Prawie jak na misjach! Po co mam jechać gdzieś daleko, jak tu pod Warszawą, są dęby, są sosny. Później jak tu przyjechałem drugi raz, to kozy i owieczki chodziły po terenie. Jak potem poszedłem jeszcze na plebanie, bez centralnego, woda w piwnicy, nawet nie musiałem zdejmować kurtki, bo było tak zimno. Tak, jak te dzieci na próbie, tak ja na plebani. W takim kontemplacyjnym nastroju o misjach, wróciłem po tym pierwszym moim spotkaniu z Zalesiem, z powrotem na Mokotów. Pamiętam, najpierw przewoziłem książki, żeby nie odkładać na ingres, a ingres nastąpił w niedzielę 12 lutego 1967 r. Tego dnia rano zebrałem warszawski kościół i moje 10 lat pracy z leżką w oku. Złapałem głęboki oddech, patrząc na napis nad wejściem kościoła „Bogu z Jego Darów”. W ręce Twoje składałem siebie. Wsiadłem do Skody i w drogę do Zalesia Dolnego. Na miejscu było bardzo uroczyście. Z plebanii na Modrzewiowej 7, pod baldachimem, prowadzono mnie do mojego sanktuarium misyjnego. A było zimno i ten baldachim nawet się przydał, bo osłaniał od wiatru. Był ze mną ks. Jerzy Chowańczak i Ks. Józef Zdunek. Wprowadzili mnie do drzwi głównych i powitanie odbyło się w drzwiach. Chlebem i solą powitała mnie pani Stanisława Jarosz, siostra Prymasa Tyśiąclecia. Ja całowałem ten chleb, blade prawie jak teraz, po tych moich przejściach zdrowotnych. Jak popatrzę na zdjęcia, chyba wtedy wyglądałem gorzej niż dzisiaj. Wprowadzono mnie pod ołtarzyk, drewniana podłoga skrzypiała. Witaał mnie ks. Dziekan, a w kaplicy zrobiło się ciepło, bo wypełniona po brzegi, a i na zewnątrz pełno było ludzi. Pamiętam, to była pierwsza niedziela wielkiego postu. Ksiądz dziekan rozważał Ewangelię o kuszeniu Pana Jezusa na pustyni. Tak mnie wprowadzał. Wręczył klucze



*Powitanie Ks. Ireneusza na plebanii przy. ul. Modrzewiowej 7, 1967,
fot. arch.*

do kaplicy. Po całej uroczystości wyszedłem na teren przykościelny, zacząłem się rozglądać i tak sobie planować. Najpierw uwagę moją zwróciły trzy sosenki. Stały tam za kapliczką takie trzy siostry, cieniutkie. Odległość między końcem tego baraczkę, a tymi sosenkami tak z siedem metrów, akurat mi pasowało. Przecież to aż się prosi, żeby tę kapliczkę podciągnąć. To nie była żadna pokusa, tylko pragnienie, żeby coś zaraz zrobić, bo to takie małe. To mi się od razu rzuciło w oczy i zaraz potem sala katechetyczna. Tu trzeba było pomyśleć. Z Warszawy wyniosłem ten swój zapał i radość, jaką mi sprawiało uczenie w szkole dzieci. Żyłem w takim wirze młodzieżowej atmosfery, trudno się było pozbyć i zrobić przerwę. Mówię. Nie! Katechizacja musi być. I co będzie, to będzie, ale ja będę chodził do szkoły. I od razu miałem maturzystów. Ksiądz prefekt Józef Nowak kończył swoją posługę w parafii. Wszystkie moje plany miały coś ciekawego, atrakcyjnego. Były urozmaicone. Sprawa katechizacji wyszła na pierwsze miejsce, poruszyła bardziej niż sosenki. I tak zaczęła się moja przygoda z salą katechetyczną. Była tam, gdzie teraz jest apteka. To był budynek. Nic okazałego. No, bo kościół jak kapliczka, to salka nie mogła być jak pałac. Taka malutka. W jednej części dzieci się uczyły, a w drugiej, bez okien był składzik na węgiel. Koniecznie trzeba było zająć się salą. Nie wiedziałem, że poprzednik mój, ksiądz Czajkowski był ciągnany do władz naszych państwowych za to, że coś remontował i dokonał jakiejś pracy bez planu, projektu. A budował właśnie tę salkę. Dziwiło mnie, dlaczego przed drzwiami nie było daszku, żeby dzieci mogły się schronić przed deszczem, że są tylko takie „fundamenciki” jakby początek czegoś. Taki korytarz miałby być? Drzwi płasko razem ze ścianą,

aż się prosi o daszek. I zacząłem od tego daszku. Po jakimś czasie jak zrobiłem ten daszek i pokrycie, wzywają mnie do urzędu na dywanik. A był taki burmistrz, rubaszny trochę, partyjny, prosty chłop i on mówi: „proszę księdza, proszę księdza, jak wy księża jesteście tu tacy mało kontaktowi i mało komunikatywni. Jesteście oderwani od rzeczywistości. Ja niedawno skończyłem wojnę z poprzednikiem księdza, a ksiądz przyszedł i zaczyna się. Co to za dach ksiądz robi, co tam ksiądz montuje? Co ksiądz wyprawia z tą salą?” Kilka razy mnie wzywał. Następnym razem sekretarka uśmiechnięta, atmosfera dobra, nawet herbata była. Doszliśmy do tego, że ja miałem zapłacić jakąś karę zgodnie z obowiązującymi przepisami. Mówię mu, zrobimy tak: połowę tego, co wpłacę, przeznaczymy na budowę tysiąca szkół, a drugą połowę na wykończenie moich salek katechetycznych. On się zachnął: „to co, ja mam może jeszcze finansować księdza budowę?” Ale załatwiłem. A z kaplicą, co ją przedłużałem o siedem metrów, to niektórzy ludzie starsi do dziś wspominają, jako akcję partyzancką. Legalna budowa kościołów była w Polsce wtedy bardzo utrudniona, albo nie możliwa. W nocy wszystko przygotowywaliśmy. Miałem ludzi takich, co w nocy, po cichu przygotowywali elementy. Wszystko było utrzymane w ścisłej tajemnicy, bo nie było innej możliwości. Mieliśmy już wszystko gotowe, a tu niespodziewana kontrola. Kręcił się jakiś gość, chyba inżynier z nadzoru, przyjechał skuterem, zaglądał. Bałem się, że nas nakryje i wszystko na nic. A w baraczkę deski, przygotowana podsufitka, gotowy dach i ściany. Szkoda tego materiału. Jak wykryje to wszystko na nic? Ale kiedy to wszystko zmontować i jak to zrobić. Jaką porę wybrać? Jedno pewne. Trzeba działać szybko. Pojechał wikary umówić ludzi do pracy, to wszyscy bardzo chętnie. Z trzydziestu ich tu przyszło. Na plebani kolację zjedli, parę godzin pospali. O trzeciej rano pod dzwonnice wiadro z herbatą i do roboty. Herbatkę popijali, pochowali wszystkie dowody osobiste i dokumenty, bo bali się, że jak ktoś ich wylegitymuje, to ich zamkną. Do siódmej żeśmy położyli na kapliczce dach siedem metrów dalej i postawiliśmy ściany. Rano już nikt nie pracował. Dopiero po miesiącu przyleciał ten sam inżynier, żeby nas tutaj sprawdzić. Wyglądało dziwnie. Z zewnątrz kapliczka jakby dłuższa, a w środku tak malutka. Nie był jeszcze przesunięty ołtarz, bo nie było za nim

podłogi. Pyta się: „Co to jest?” Tłumaczę mu, że to robi takie wrażenie. Bałem się, że mnie będą ciągać znowu po urzędach i molestować, że coś zrobiłem. To się zapierałem, że to tylko takie wrażenie nic więcej. Że wszystko stoi na tym samym miejscu. Odjechał. Z pierwszych siedmiu lat, pięć dotyczyło właśnie powiększenia salki katechetycznej i kapliczki. To takie moje początki.

Podobno było księdzu łatwiej realizować plany niż poprzednikowi?

Ksiądz Czajkowski usilnie składał podania o zgodę na budowę kościoła i nic, ciągle mu odmawiano. Takie były czasy. Mnie się udało, chociaż nie od razu. Bo jak tu przyszedłem w 1967 roku, to dopiero w 1974 dostałem pozwolenie na pobudowanie plebanii. Nie było plebanii, tylko kozy chodziły tutaj po terenie. Plebania by się przydała. Chociaż myślałem, że będę mieszkał u Państwa Radwanów, ładny dom. Najpierw poprzedni ksiądz kupił, potem sprzedał. Trudno. Budowa plebanii była niesamowita. Zgoda była oficjalna, ale nic poza tym nie było. W tym trudzie i w pracy ciężkiej, społeczność jednoczyła się w działaniu. Nastawienie do mnie było bardzo życzliwe. Bardzo mnie wspierali. Zaprzyjaźniliśmy się. Widzieli, młody ksiądz, energiczny, ale nie ma doświadczenia. Bez nich niczego bym nie osiągnął. Jak była budowa plebanii, to ja razem z nimi pracowałem. Chodziłem w walmach takich wielkich, upapranych, budowałem. Nic nie można było załatwić legalnie. Ani piasku, ani betoniarki. Trzeba było mieć przydziały. Jakby spi-



Kardynał Stefan Wyszyński w Zalesiu Dolnym

sać wspomnienia z budowania, to byłaby gruba książka. Nawet milicja mnie przesłuchiwała. Ale w końcu szczęśliwie wszystko się udało.

Mój sukces największy – to upragniona budowa kościoła. Ta budowa, ludzi razem z księdzem, wytworzyła wspaniałą atmosferę. Jak budowałem kościół nie byłem arbitralny w ocenach i decyzjach. Miałem zorganizowaną sieć specjalistów i fachowców z danych branż. Komitet budowy kościoła był powołany. Urząd-

zaliśmy odprawy, dyskutowaliśmy. Wszystkich słuchałem z uwagą. Akcja zbiorów pieniężnych nie była agresywna. Ludzie mówili, że tyle się budowało, a ksiądz nawet z ambony nie nawoływał, nie wychwalał tego czy tamtego. To było robione dyskretnie i bardzo mobilizowało. Ogłoszono konkurs. Sześciu architektów zgłosiło do konkursu swoje prace i z tych sześciu wybrany był ten jeden projekt. Była wystawa, była komisja z Kurii i parafianie. Oceniano prace. Wygrał projekt młodych studentów architektury: panów Andrzeja Piłatowskiego i Wojciecha Szymborskiego, pod kierunkiem inż. Ryszarda Czerwińskiego. Na marginesie, projekt architektoniczny Wojciecha Szymborskiego wygrał konkurs na Świątynię Opatrzności w Wilanowie.



Drewniany Kościółek w Zalesiu Dolnym, lata siedemdziesiąte

Kto był w komisji?

Ludzie z naszego terenu. Bo tu było dużo ludzi zasłużonych i kompetentnych w tej dziedzinie. Danuta Jagielska, Krystyna Gontarczyk, Lech Koliński, Henryk Janicki, Józef Wilkoń, Adam Myjak oraz Elżbieta i Wiesław Żydakowie, Bożena i Dariusz Członkowsky. Miałem wielu doradców, kompetentnych ludzi, stały kontakt z komisją architektury sakralnej przy Kurii. Projektanci i miejscowi spotykali się na naradach i wspólnie oceniali, wymieniali uwagi. Inne działania, może i drobniejsze, wykonywane były również po rozmowach i konsultacjach, a nie tak samorzutnie i arbitralnie. Decyzji nie podejmowałem sam, tylko zespół. Oceniając w parafii ten czynnik materialny, jaką była budowa kościoła, widziałem to, co nie jest materialne, a bardzo cenne. To zjednoczenie. Czułem, że parafia się umocniła, nie była czymś nowym. Więż była silna i przenosiła się na inne sprawy.

Co było najtrudniejsze w realizacji tego projektu?

Najtrudniej było zdobyć miedzianą blachę na dach. Przydział był za mały. Wspomagali mnie księża, którzy dostawali przydziały na swoje zabytki, a ja od nich kupowałem jak im zostało. Oddzielna historia to budowa krokwi i ich instalacja. Budowali wspinali fachowcy. To był odważny projekt i ciekawy. Chciałbym jeszcze dodać, że nasza parafia tym jest wyróżniona, że jest to rodzinne miejsce Prymasa Stefana Wyszyńskiego. To było i jest ważne. Prymas nas wyróżniał. Przyjeżdżał do siostr i ojca. Doceniał. Nawet proponował mi, że przeniesie mnie tam gdzie łatwiej, do Warszawy, ale ja mówiłem mu, że tu mam jeszcze nieskończone.

Co ksiądz wspomina ze swojej działalności duszpasterskiej najchętniej? Co było dla księdza spełnieniem duchowym?

Praca ze szkołami. Nie ma takiego księdza w Polsce, co miałby tyle lat i jeszcze udzielał w szkole lekcji religii. Miałem we krwi nauczanie w szkole. I na Mokotowie i wcześniej w Kobylce i w Radości. Cały czas z młodzieżą. Żadnej przerwy. W tym roku, gdyby nie ta choroba, która wstrząsnęła mną, tak znienacka, jeszcze do szkoły bym chodził. Bo bym nie wytrzymał. Ale mnie ta choroba przygniotła. Pan Bóg mnie tak doświadczył. Może to i dobre.

To, co ja teraz przeżyłem po tym wydarzeniu, w czasie pobytu w szpitalu, trzy miesiące prawie, było dla mnie bardzo pożyteczne (*zawał serca i operacja kardiologiczna – JKN*). To jest taka moja przygoda z cierpieniem. Uświadamiam sobie, że ono kiedyś nastąpi. Cierpienie bardzo pomaga dobrze ocenić i wartościować zdarzenia, które są, które były. Ale oceniając minione lata poważnie, to nie straciłem mojego powołania i pragnienia bycia kapłanem. Cały czas byłem księdzem, chociaż umęczony taką pracą i takimi sprawami organizacyjnymi, materialnymi i warunkami, jakie wtedy były. Ale ta praca i to, co jej wtedy towarzyszyło było bardzo cenne. Zachowałem wiarę. I nie miałem zwątpienia. Pracy było bardzo dużo dla jednego księdza na takiej parafii. Porównując to, co zastałem i to, co przekazałem, to duży sukces. Ta budowa jedna po drugiej, taka ciężka, materialna, ale jak pomyślę sobie, że przy tej budowie ludzie jednoczyli się, mam ogromną satysfakcję i może zasługę u Pana.

Dziękuję Księdzu za tę rozmowę. Dziękuję za przypomnienie o tej ważnej dla nas rocznicy. Życzę dużo sił, zdrowia, docenienia i aby kontynuowano to, co księdzu udało się stworzyć w parafii, zarówno w sferze materialnej jak i duchowej więzi międzyludzkiej.

rozmawiała

Joanna Kowalska-Nowak

Fotografie archiwalne
z prywatnych zbiorów ks. I. Jędryszka



*Ks. Kanonik I. Jędrzysek przy popiersiu Kardynała Wyszyńskiego,
styczeń 2011*

Dlaczego działałam w TPZD?



Dobre pytanie do kogoś, kto całe dotychczasowe swoje życie związany jest z Zalesiem Dolnym. To tu ukończyłam „Krauzówkę”, a potem „Platerówkę”. Stąd dojeżdżałam do Warszawy, gdzie studiowałam na Politechnice Warszawskiej. Nawet wtedy, gdy zamieszkałam (w związku z podjętą pracą) poza Zalesiem, bywałam tu częstym gościem u rodziców i siostry. Dlatego też mogłam na bieżąco obserwować zachodzące w moim ukochanym Zalesiu zmiany. Niestety jedne były lepsze, drugie gorsze.

Podziały leśnych działek (gdzie zbierało się grzyby i jagody), bezmyślne wycinanie drzew i krzewów, aby pozyskany grunt przeznaczyć pod uprawy ogrodnicze, budowanie domów-klocków bez stylu charakteru zabudowy podmiejskiej, niszczenie rowów odwodnieniowych skutkujące obecnie podtapianiem niektórych terenów. Ta radosna twórczość z lat 60., 70., 80. ubiegłego wieku trwa właściwie i obecnie. Budowane w latach 90. i po roku 2000 dużo większe od poprzednich domy, często o ciekawej architekturze chowane są wstydliwie za pełnymi wysokimi ogrodzeniami, które dodatkowo utrudniają przemieszczanie się zwierzętom.

Nowi mieszkańcy Zalesia lubią z wyższością patrzeć na tubylców, dziwiąc się ich przywiązaniu do swojego miejsca na ziemi. Dla nich to zwykłe przystanek w drodze życiowej lub lokata kapitału. A Zalesie Dolne to nieprzemijające wartości:

- to więzi międzysąsiedzkie – przynajmniej na niektórych ulicach, gdzie sąsiedzi się znają, pozdrawiają i wspierają,
- to przyroda, która mimo ludzkiej ingerencji – trwa i odnawia się, dostarczając tlenu zurbanizowanemu Piasecznu,
- to historia – ta dalsza i ta bliższa, to szkoły z tradycjami i zasłużeni obywatele,
- to wreszcie wspinały układ urbanistyczny ze świetnymi przykładami zabytkowej zabudowy, projektowanej przez wybitnych przedwojennych architektów.

Nie możemy tego przekreślić, zniszczyć i zostawić po sobie bylejakosć, bez zakotwiczenia w przeszłości. Dlatego warto działać w Towarzystwie Przyjaciół Zalesia Dolnego, i dlatego ja w nim działałam. Chciałabym zostawić coś pozytywnego po sobie.

Elżbieta Żydak

Były bale



Rudy karczmarz nalewa wódeczkę do literatek ustawionych na gazecie. Potem podkręca pejsy, poprawia jarmułkę i gapi się na bawiących gości, oparty o malowniczy bufet z ciemnego drzewa. Taki obrazek nie byłby dziwny w roku 1934 lub 35 na krakowskim Kazimierzu czy warszawskich Nalewkach. Jest jednak zaskakujący w podwarszawskim salonie, w roku 2002, na przyjęciu u znanego satyryka.

Róże z helikoptera nie mają kolców

Przyjęcia rustykalne, hawajskie czy w stylu lat dwudziestych – salony i państwo, jak nazywa naszych rodzimych milionerów, Jerzy Iwaszkiewicz, znawca tematu i kronikarz życia towarzyskiego, prześcigają się w wyścigu na najzabawniejszą, najbardziej oryginalną aranżację imprezy. Ambicją jest zorganizować przyjęcie czy bal, o którym będzie się mówiło, i co ważniejsze, pisało. Viva czy Gala, pisma dla elit i ludu, zalewane są zaproszeniami na bale, baliki, imprezy i imprezki.

Im wymyślniejsze, tym większa szansa, że opiszą.

Do dziś jednak nikt nie prześcignął pomysłu damy z Konstancina, która lat temu kilka, kazała w czasie przyjęcia urodzinowego zrzucić z helikoptera na bawiących się gości setki czerwonych róż.

Tradycje szalonych przyjęć istnieją w Polsce z dawien dawna. To nie moda, która przyszła do nas z Zachodu. To nasze, własne – choć trochę zapomniane w okresie przaśnego socjalizmu.

Pomysł z kostiumem żydowskim też nie jest nowy. Jarosław Potocki, „maskaradowy amator i marnotrawca” już w XVIII wieku występował na balach przebrany zawsze za żydowskiego kramarza. Taką miał właśnie fantazję.

Na szyi nosił zawieszoną szufladę czy skrzynkę, pełną złotych pierścieni, brylantowych zausznic, paryskich perfum, pereł i innych kosztowności, które hojnie rozdawał co piękniejszym damom. Stanisław Morawski, czołowy plotkarz epoki, podaje, że hojny hrabia przetracił w ten sposób piętnaście tysięcy dusz. Jednym słowem, prawdziwą fortunę.

Andrzej Koźmian we wspomnieniach pisze, że gościnność była w Polsce poczytywana za: „cnotę, przyjemność, rozkosz, potrzebę życia”. W czasach, gdy nie istniała telewizja, a książka była rzadkością, w samotnych i oddalonych od siebie dworach i pałacach, gość był wymarzoną rozrywką, źródłem wiadomości ze

świata, plotek i anegdot. Jeden z ówczesnych pamiętnikarzy przypominał postać stryja, który siedział na ganku z lunetą i wypatrywał przejezdnych. Gdy na drodze ukazywał się powóz, służba była wysyłana z poleceniem zaproszenia, a nawet doprowadzenia gościa do dworu siłą.

Ta tradycja, ta potrzeba zabawy towarzyszyła i towarzyszy Polakom do dziś dnia. Organizacja, aranżacja przyjęć wymaga nie tylko zasobów finansowych, ale i pomysłowości i fantazji. Była i jest swoistą dziedziną sztuki, sposobem wyrażania kreatywności, swojego gustu.

Wiejskie śniadanie u Radziwiłłów

W osiemnastym wieku panie z arystokracji prześcigały się w organizowaniu wymyślnych przyjęć. Helena Radziwiłłowa zaaranżowała imieniny swojego zięcia jako proste wiejskie śniadanie. Wersja radziwiłłowska tej bezpretensjonalnej imprezy, śniadania, wyglądała następująco: zmieniała salon w las świerkowy, w wioskę składającą się z czterech chatek ze słomy ryżowej. W każdej z nich podawano dania pochodzące z ulubionych ówczesnych restauracyjek, takich jak Wiejska Kawa czy Lessel. Pośród tego lasu świerkowego, na polance, stał stół z najprzedniejszymi mięsiami firmowany napisem „Tu Gąsiorowski, kuchmistrz doskonały”.

Księżna Wirtemberska w liście do matki konstatowała jednak, że przyjęcie to było nieudane, bo „ile razy ktoś sięgnął po rzodkiewkę albo śledzia musiał trącić nosem o jakiś krzak róży albo zaczepić gałązkę boule de neżu (pisownia oryginalna), a wtedy Radziwiłłowa wydawała krzyki niehumanitarne”.

Happening u Czartoryskich

Izabela Czartoryska, słynna pani na Puławach, zorganizowała dla zabawy swoich gości coś, co byśmy dziś kreślili mianem happeningu, a może był to nawet pierwszy performance.

Zabrała swoich gości na spacer drogą nieopodal pałacu. Na poboczu tej drogi ustawiła tureckie namioty, w których służba podawała spacerowiczom kaffe i herbatę, egzotyczne lakoce, sorbety i lody, a wszystko to na porcelanie chińskiej i japońskiej. Podczas spaceru minęła gości karawana składająca się z ogorzałych Arabów w turbanach, „brodatych i dzikiego wejrzenia”, pędzących, ni mniej ni więcej, trzysta baranów i sto krów z dzwonczkami. Za nimi szło zaś dwunastu hajduków ubranych, jak pisze kronikarz, „z turecka, w papuciach na gołych nogach”. Później zdumionych gości minęło jeszcze grupa składająca się z stada rumaków w przepysznych rzędach, stada wielbłą-

dów objuczonych bagażem, a na końcu wozów z kobietami w strojach wschodnich. Ten spektakl tak się gościom spodobał, że powtórzono go jeszcze kilkakrotnie.

Trudno potem było innym damom przelicytować taką fantazję. Ale starano się...

Uciekające nimfy

Pamiętnym wydarzeniem towarzyskim w roku 1826 był bal wydany przez niejaką panią Trypolską. Nikt by o tej damie nie usłyszał, przepadłaby w mrokach historii, gdyby nie słynne jej przyjęcie.

Sala w należącym do niej pałacu była zbyt mała, aby pomieścić wszystkich zaproszonych gości, kazała więc wybudować w ogrodzie specjalny pawilon. Dekoracja z zielonych roślin, przyniesionych z oranżerii, nie zadowoliła wykwintnego gustu gospodyni. Posągi, białe posągi – tego potrzebowała. Komponowałyby się świetnie z zielenią roślin.

Ba! Ale skąd wziąć na głuchej poleskiej wsi 12 greckich posągów? Rozejrzała się wokół i wybrała tuzin urodziwych dziewczek z pobliskich wiosek. Kazała je pobielić gipsem i kredą, ubrać w krótkie, udrapowane z białego płótna tuniki i ustawiła, tak przystrojone, na postumentach w wymyślnych pozach. Ot i posągi gotowe. Sala wyglądała pięknie. Taki efekt artystyczny chciała właśnie osiągnąć.

Bal toczył się w najlepsze, gdy jeden z balowiczów, zafrapowany wystrojem, zbliżył się do stojącej nieopodal nimfy i dotknął jej ręką. Nimfa pisnęła, gość wrzasnął. Statua ożyła i na oczach oniemiałego tłumu boginka zeskoczyła z postumentu i uciekła, a za nią podążyło 11 pozostałych widmowych postaci.

Tak bawiono się do czasów powstania styczniowego. Po jego klęsce ogłoszono żałobę narodową. Modne stały się hasła pozytywistyczne, praca u podstaw i praca organiczna. Zabawa, szalona zabawa, stała się rzeczą w ciut złym stylu.

W Kórniku u Zamojskich nie jadano nawet cukru, bo Polska w niewoli, a ordynat sypiał na biurku, twardym biurku, z tego samego powodu. Taki prawdziwy i szczery, choć egzaltowany, patriotyzm demonstrowano w niejednym domu arystokratycznym czy ziemiańskim.

Oczywiście nie znaczy to, że nie było balów i przyjęć. Jak wspominała Paulina Wilkońska: „w zacnym polskim salonie mówiła mi pewna pani domu, że „rozpowiadają coś ciągle o zsyłkach, a przecież z nas nikogo w czwartek nigdy nie brałuję”.

I tak to pamiętnikarka komentowała – „Oto druga współczesność”.

Pan Jan Dimmich wspomina bale w małym Nakle – aranżowano te baliki pod hasłem lato – zimą. Masa kwiatów i zieleni, szemrząca fontanna w tle, a panie i panowie tańczyli w letnich strojach.

Był to pomysł na zabawę, niezbyt kosztowną, w latach dwudziestych, latach kryzysu gospodarczego szczególnie cenny.

Żywa była też tradycja dziewiętnastowiecznych balików organizowanych przez rzemieślników i strażaków. Wszyscy występowali na nich w mundurach, na galowo, albo poprzebierani w kostiumy, własnej roboty, szyte w domach stroje arabskich szejków, czy wypożyczane mundury policjantów i uniformy kominiarzy.

W Warszawie i Krakowie odbywały się wówczas słynne bale mody czy malarzy. Obowiązywały fantazyjne kostiumy, przebierano się za np. piecyk, i wybierano obowiązkowo królową balu. Zdobycie takiego tytułu często kosztowało fortunę zaprzyjaźnionego z kandydatką pana. Walczono o ten tytuł zażarcie i wszelkimi dostępnymi środkami.

Znane artystki przychodziły na bale w strojach wypożyczonych ze słynnych ówczesnych salonów mód. Potem prasa reklamowała i oceniała owe kreacje. Konferansjerzy prowadzący bale też rzucali mimochodem w zapowiedziach, skąd, z jakiego magazynu pochodzi ich śliczny kravacik lub smoking, a zdarzyło się nawet, że konferansjer napomknął o bieliźnie.

Cóż, w czasach przed telewizyjnych biznes reklamowy kręcił się na zupełnie innym poziomie.

W Krakowie, w Jamie Michalikowej zabawy nosiły nazwę Inkamolajo. Były to bale przebierańców: „Gdy u wejścia pojawiał się ktoś w zwykłej marynarce albo co gorzej w smokingu, malarze z komitetu chwyтали go w obroty. Marynarkę odwracano mu podszewką ku górze, gors kosztuli i twarz malowano w kolorowe desenie, do włosów wpinano pióra lub inne ozdoby, po czym wśród ryku – Inkamolajo!!- wprowadzano oszołomionego gościa do sali”.

W Zamku Królewskim, ówczesnej siedzibie prezydenta, przyjęcia były wy-

cd. na s. 19

Dokarmiać, czy nie dokarmiać ptaki zimą?

Dokarmianie ptaków podczas zimy daje nam możliwość spędzenia radosnych chwil na obcowaniu z dziką przyrodą. Możemy dzięki temu poznać ptasie zwyczaje i zachowania, jak również nauczyć się rozpoznawać rozmaite gatunki. W warunkach surowej zimy poprzez dokarmianie zapewniamy również ptakom łatwiejszy dostęp do pokarmu. Jest to szczególnie istotne wówczas, gdy środowisko ich występowania jest zniekształcone. W takich warunkach baza pokarmowa pozostaje uszczuplona. Z takim przypadkiem mamy do czynienia w niektórych zalesiańskich (zbytńio wypielegnowanych) ogrodach. Czasem, kiedy większa część działki pokryta jest kostką, a drzewa i krzewy w dużej mierze powycinane, ptaki nie znajdują tam odpowiednich warunków do gniazdowania, a i z dostępem do dostatecznej ilości pokarmu mogą mieć problem.

Jeżeli podejmujemy się dokarmiania ptaków, należy pamiętać o tym, aby być w tym systematycznym. Podawajmy pokarm podczas mrozów i intensywnych opadów śnieżnych.

Ptaki przyzwyczajają się do miejsca stałego podawania pokarmu i w takiej sytuacji nie szukają już źródeł jego naturalnego występowania. Jeśli zdarzy się, iż podczas pogorszenia pogody zapomnimy dostarczyć im pożywienia, ptaki mogą zginać z głodu.

Pamiętajmy również o tym, aby dokarmianie zakończyć wiosną, a karmnik i najbliższe otoczenie należy oczyścić z resztek pokarmu, aby zapobiec namnażaniu się szkodliwych mikroorganizmów.

Dokarmianie ptaków może stanowić dla nas swoistego rodzaju przeżycie emocjonalne i poprzez obserwacje z bliska dzikich istot uczulić nas na piękno i bogactwo rodzimej przyrody.

Warto jednak zadać sobie pytanie – na ile dokarmianie pozwala przetrwać zimę skrzydlatym przedstawicielom naszej fauny?

Okazuje się, że z miejsc dokarmiania nie korzysta zbyt wiele gatunków, a przy tym egzystencja ich nie jest zagrożona. Głównymi gośćmi karmników na pewno będą sikorki: głównie bogatka i modraszka, kosy, kwiczoły, zięby, dzwońce, czyżyki oraz kowaliki. Czasem nasz karmnik może odwiedzić sójka, dzięcioł duży, grubodziób, a także dzięcioł średni, dzięciołek czy też inne rzadziej widywane zimą ptaki, takie jak chociażby rudzik czy strzyżyk. Wszystkie te gatunki pozostające u nas na zimę są dobrze przystosowane do panujących wówczas trudnych warunków. Poprzez ich dokarmianie pomagamy jedynie przetrwać ich najsłabszym przedstawicielom. W efekcie tego na wiosnę może dojść do przegęszczenia lokalnych populacji ptaków. W związku z tym część ptaków może

być zmuszona do zajęcia zbyt małych rewirów lęgowych, co uniemożliwi tym samym wykarmienie całego potomstwa. Nadmierne zagęszczenie pozostających u nas na zimę gatunków ptaków może również stanowić zagrożenie dla gatunków wędrownych, które po przylocie z zimowisk mogą mieć problemy ze znalezieniem wolnych rewirów lęgowych.

Czym dokarmiać ptaki ?

Najlepiej jest stosować najtańsze i najprostsze pokarmy. Unikajmy przy tym podawania resztek ze stołu takich jak: okruszki ciast, kawałki chleba lub boczku. Układ pokarmowy ptaków nie jest przystosowany do pobierania tego rodzaju pokarmu (dodatek soli i przypraw), co może nawet prowadzić do ich śmierci.



Kwiczot chętnie pożywi się jabłkami. Fot. JKN

W zależności od spożywanego zimą rodzaju pokarmu możemy wyróżnić dwie grupy ptaków: **ziarnojady**: jak zięby, gile, sikory oraz **miękkojady**: jak rudyki, strzyżyki, drozdy i pęczaczki.

Najlepszym pokarmem dla ziarnojadów będą nasiona słonecznika, a w mniejszym stopniu konopi, maku i lnu. Możemy również karmić je wyłuskany orzechami włoskimi i laskowymi oraz pestkami dyni, ale to już będzie wiązało się ze sporym wydatkiem. Nasiona mogą być również dodatkiem do specjalnie sporządzonej mieszanki dla ziarnojadów. Podstawowym jej składnikiem jest łój wołowy, bądź surowa słonina stopione na wolnym ogniu. Do pięciu części wagowych tak powstałego tłuszczu dodajemy jedną część otrąb. Nie zaszkodzi również dodatek odrobiny oleju słonecznikowego, który sprawi, iż mieszanka nie będzie zbyt twarda. Całość jeszcze przed zastygnięciem wlewamy do specjalnie w tym celu sporządzonego na przykład na bazie doniczki karmidła bądź też umieszczamy w ażurowym woreczku, w którym możemy kupić nieraz owoce i warzywa.

Podobnie sporządzić możemy również mieszankę dla miękkojadów. Będzie ona różniła się tylko

proporcjami składników. Do jednej części tłuszczu (stopiony łój wołowy bądź surowa słonina) dodajemy jedną część otrąb bądź też płatków owsianych otrzymując tym samym miękką, brejowatą

Jeśli ktoś nie ma czasu na te zabiegi, to najprościej będzie powiesić na gałęzi kawałek surowej słoniny. Z tego rodzaju pokarmu bardzo chętnie skorzystają: sikory, dzięcioły, kowaliki oraz pęczaczki.

Nie wzbudzi on natomiast zainteresowania miękkojadów, takich jak rudyki czy kos. Poza specjalnie przygotowaną mieszanką możemy je dokarmiać rodzynkami, kawałkami owoców oraz jagodami jarzębiny, czarnego bzu, ligustru lub rokitnika. W przypadku kosa i drozda kwiczola najlepszym pożywieniem będą jabłka.

W jakim miejscu wykładać pożywienie?

Otóż dobry karmnik powinien posiadać:

- daszek z szerokimi nawisami chroniącymi pokarm przed niekorzystnym wpływem czynników atmosferycznych (deszcz, śnieg),
- przestronne otwory wlotowe, umożliwiające ptakom odpowiednio szybką reakcję na zagrożenie ze strony drapieżników,
- łatwy dostęp do wyjmowanego dna, który umożliwi regularne czyszczenie karmnika ze szkodliwych resztek pokarmu. Brzegi podstawy karmnika powinny być ponadto podwyższone, aby zapobiec wywiewaniu i rozsypywaniu pokarmu.

Do wykonania karmnika najlepszymi gatunkami drewna są: świerk, sosna czy dąb. Nie możemy stosować do jego konstrukcji sklejek i płyt wiórowych zawierających szkodliwe kleje. Grubość desek: około 2 cm. W celu odnalezienia właściwych konstrukcji warto poszperać w internecie. Możemy tutaj nabyć gotowe bardzo udane karmniki jak również budki lęgowe. W sklepach zoologicznych możemy kupić specjalne mieszanki z pokarmem dla ptaków. Warto pomyśleć również o zabezpieczeniu karmnika przed kotami. Powinien być on umieszczony wysoko nad ziemią, na względnie otwartej powierzchni, tak, aby ptaki miały czas zauważyć potencjalnego drapieżcę.

Życzę ciekawych obserwacji !!!

Pamiętajmy jednak o tym, iż zimowe dokarmianie ptaków nie rozwiąże problemu uszczuplania i degradacji ich naturalnych miejsc występowania. Ochrona siedlisk ptaków pozostaje w tym momencie rzeczą priorytetową.

Artur Koliński

Autor jest absolwentem Wydziału Leśnego SGGW (dyplom z ornitologii), Studium podyplomowego w zakresie zagrożonych gatunków ptaków i siedlisk w programie rolno-środowiskowym i Akademii Fotografii. Jest współautorem kalendarza TPZD na 2011 rok.

Zamiast telewizji

Ptasie mieszkania!

Najwyższy czas pomyśleć o budkach dla ptaków. W moim ogrodzie jest ich kilka. Robił je własnoręcznie mój ojciec, wiele lat temu. Niektóre służą ptakom do dzisiaj. Solidne i wygodne! Teraz ja się opiekuję budkami, nie robię ich sama, trochę eksperymentuję z gotowymi. Z dreszczykiem emocji czekam, czy będą zamieszkałe i przez jaki gatunek. Ptaki często wracają do tych samych domków. Bardzo lubię się przyglądać tej wiosennej krzątaniu i ptasim zalotom, czasem awanturom o upatrzone domki. Zamiast telewizji!

Zimy mamy już dosyć i niecierpliwie czekamy na pierwsze oznaki wiosny. A ona się zbliża. Zwiastunem są poranne, radosne, energiczne świergoty ptaków. Przy moim domu rośnie orzech włoski. W jego pniu jest niewielka dziupla. W ubiegłym roku były w niej pisklęta sikorki modrej. Dziś zobaczyłam, jak modraszka zagląda do niej z zainteresowaniem, chociaż, kiedy to piszę, jest jeszcze styczeń. Dlatego pomyślałam sobie, że to najwyższy czas, żeby napisać o ptasich domach i zachęcić Państwa do powieszenia budki dla ptaków. Jednej na początek, czy kilku, jeśli są takie możliwości. Bo to jest fascynujące! Łagodzi stres życia codziennego i jest, przynajmniej dla mnie, wielką radością z mieszkania w Zalesiu.

W Zalesiu przybywa mieszkańców, nowych domów, pięknych wypielegnowanych ogrodów. Nas przybywa. Ptakom miejsca ubywa. Gdzie mają mieszkać, co mają jeść? Mówimy o nich: „nasi skrzydlaci przyjaciele”. Bądźmy dla nich też przyjaciółmi. Wiele rodzimych gatunków lęgnie się już marcu, wykorzystując na gniazda naturalne dziuple. Ale drzew dziuplastych z każdym rokiem jest mniej. Wycina się stare drzewa, usuwa większe konary, w szczelinach których ptaki mogą założyć bezpieczne gniazdo. Nic dziwnego, że ptaków gnieźdzących się w dziuplach jest coraz mniej, a niektóre z nich stają się gatunkiem zagrożonym wyginięciem. Np. kolorowa kraska znalazła się w Polskiej Księdze Ginących Gatunków. Takie stare, dziuplaste drzewa to w Zachodniej Europie powód do dumy każdego parku. Są otaczane tam specjalistyczną opieką dendrologiczną. U nas, dziupla w drzewie jest zwykle pretekstem do wycięcia drzewa. Dlatego niekiedy jedyną nadzieją dla ptaków gnieźdzących się w dziuplach są budki lęgowe. To substytut dziupli, ale lepiej to niż nic.

Budka – ptasi dom

Jeśli zostanie zamieszkała, to jest to powód do dumy. Nie zawsze się to udaje. W dziuplach mieszkają nie-

chołówki, pleszki, pliszki, pełzacze, kowaliki, dzięcioły, krętogłowy, szpaki, dudki, pójdzki, puszczyki. Styczeń i luty to najwyższy czas na powieszenie na drzewach nowych ptasich mieszkań. Jak powiesimy później, to zostaną zamieszkałe najwcześniej za rok.

Co trzeba wiedzieć o budkach dla ptaków, żeby cieszyć się z obserwacji zasiedlania, godów, lęgów, nauki latania?



Dziupla modraszki. Fot. JKN

Gdzie powiesić budkę, jaką, dla kogo, jak ją zabezpieczyć przed drapieżnikami, jak o nią dbać?

Budki wieszamy na drzewach od strony wschodniej, południowo-wschodniej w ostateczności od zachodniej. Nigdy od północy. Budka powinna być odchylona od pnia, aby woda z niej spływała, a nie wpadała do środka. Wysokość umieszczania skrzynek zależy od otoczenia. W miejscach, gdzie jest większy ruch, umieszczamy wyżej, zwykle na wysokości 6-8 m od ziemi. Tam, gdzie cisza i spokój, mogą być na wysokości 3-6 m. Nie należy wieszować w ogrodzie zbyt wielu skrzynek. Dla sikor minimalna odległość to 30-50 m, dla muchołówek 13-30 m, dla pełzacza 100 m, dla sów 300 m. Jeśli mamy drzewo z dziuplą, to możemy ją oczyścić i zafundujemy naszym gościom „pięciogwiazdkowy” apartament. Pamiętajmy, że budka to tylko namiastka ptasiego domu. Chrońmy więc stare drzewa.

Budki są różne dla różnych ptaków. To, jaki ptak zamieszka w zawieszanej budce, zależy przede wszystkim od wielkości otworu wlotowego.

Dom dla szpaka. Szpaki wracają szczególnie chętnie tam, gdzie się uprzedniego roku gnieździły.

Świetnie pamiętają swe miejsca lęgowe i bezbłędnie do nich wracają z południa Europy, gdzie większość zimuje. Najchętniej zakładają gniazda w dziuplach, korzystają też chętnie ze skrzynek lęgowych. Jeżeli chcemy, aby zamieszkały w naszym sąsiedztwie, powinniśmy wywiesić skrzynkę lęgową na pobliskim drzewie z otworem wlotowym najlepiej o średnicy 5 cm, skierowanym na wschód lub zachód. Odległość otworu od dna powinna wynosić ok. 30 cm.

Na dużym drzewie można powiesić maksimum dwie budki i to w oddaleniu co najmniej 2-3 metrów. Budki można wywieszać także na ścianach domów, altan. Należy się jednak liczyć z tym, że w okresie lęgowym ptaki będą brudzić najbliższe otoczenie. Jeśli zamieszkają, to rekompensatą za nasz wysiłek będzie podziwianie ich wspaniałych umiejętności wokalnych, radość z obserwacji godów, karmienia młodych. W budkach dla szpaków nie należy instalować patyczka pod otworem do wchodzenia, bo jest tylko ułatwieniem np. dla srok.

Typy domków

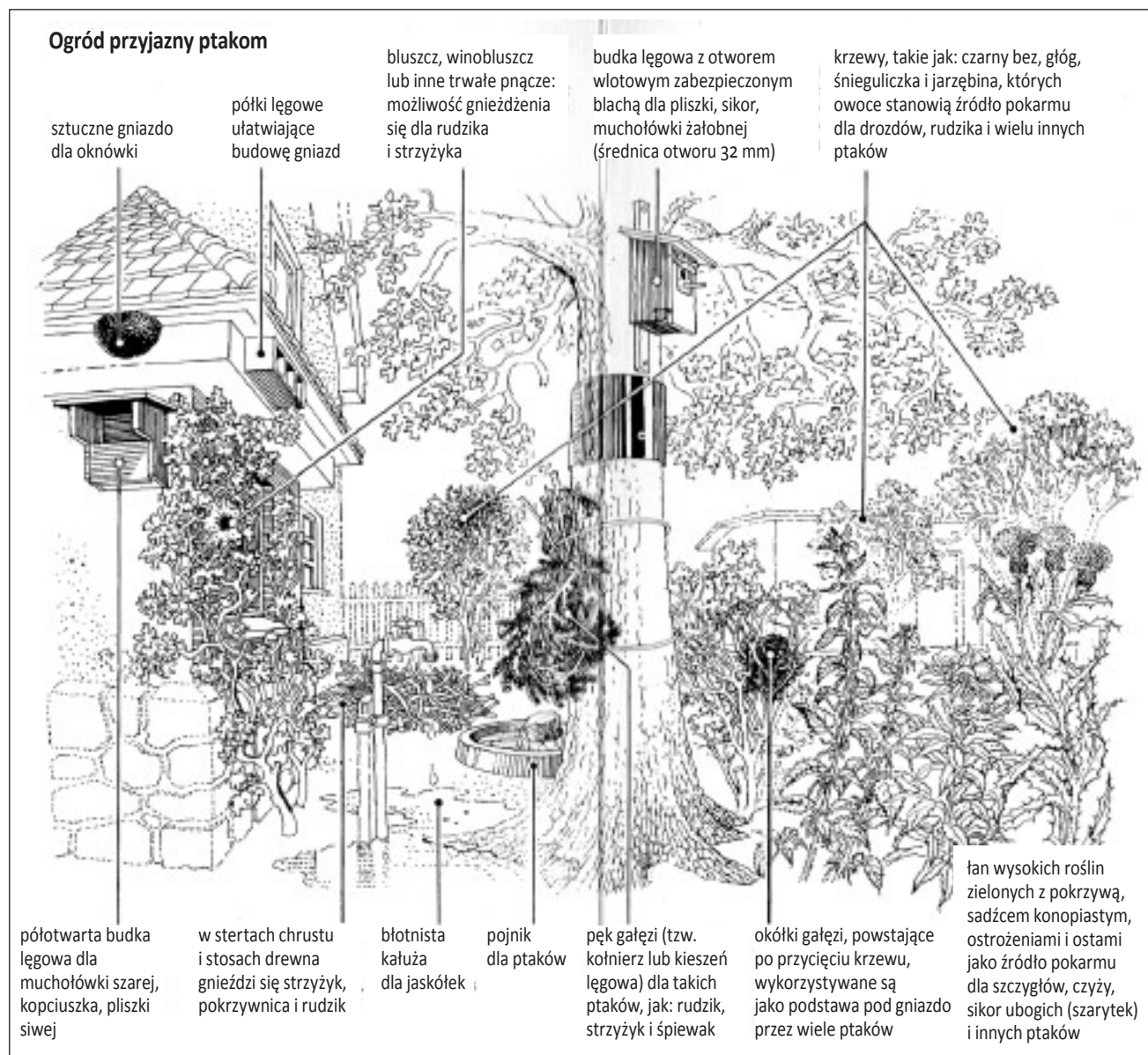
Dobrze mieć na działce różne typy budek dla różnych gatunków ptaków.

Dla tych, którzy chcą zrobić domek pod konkretny gatunek ptaka, podaję krótką charakterystykę kilku najczęściej stosowanych typów.

Budka dla dużych ptaków, w której może zamieszkać: sowa, dudek, gołąb, puszczyk, pustułka, kawka powinna mieć średnicę otworu wlotowego 16-18 cm. Budka dla dzięciołów, szpaków, dudków, jerzyków, pójdzki, dużych dzięciołów ma otwór wlotowy o średnicy 13-15 cm.

Budki dla mniejszych ptaków mają otwór średnicy 2,7-3,0 cm. Taki domek jest dla sikorki, pleszki, muchołówki żałobnej, mazurka.

Piskłeta w budce mogą być łatwym łupem dla różnych drapieżników. Dlatego trzeba pomyśleć o pewnych prostych zabezpieczeniach. Przed kotem, kuną czy łąsiczką, zabezpieczamy umieszczając blachę wokół pnia drzewa na wysokości około 1 metra nad



ziemią, albo inny śliski materiał, żeby nie udało się wbić w niego pazurów. Można też założyć tzw. kołnierz z siatki lub blachy.

Budki przeznaczone dla małych ptaków, trzeba zabezpieczyć przed rozkuwaniem. Co to jest rozkuwanie? Rozkuwają najczęściej dzięcioły, powiększają bardzo otwór, do swoich rozmiarów, więc dla drobnych ptaków budka się już nie nada. Jak zabezpieczyć? Trzeba przybić blachę wokół otworu wlotowego.

Kilka rad dla majsterkowiczów, lub na co zwrócić uwagę, gdy chcemy budkę kupić gotową.

Najlepsze do budowy domku są nieheblowane deski o gr. 2-3 cm. Przednia ścianka powinna być podwójnej grubości. Tak skonstruowana wydłuży otwór wlotowy i lepiej zabezpieczy lęg przed wybraniem. Budka musi być szczelna, ptaki nie lubią przeciągów i nie zasiedlają domków, w których są szczeliny i źle dopasowane deski. Spadek daszka powinien być zawsze skierowany ku przedniej ścianie tak, aby zasłaniał otwór wlotowy przed zacinającym deszczem. Daszek może być przykryty papą lub blachą. Budka nie powinna „leżeć” na pniu, ale musi być lekko pochylona do przodu.

Jeśli chcemy kupić gotową budkę to UWAGA! Eksperymentowałam z gotowymi budkami i mam następujące doświadczenia: Budki zrobione z wydrążonego pnia, imitują znakomicie dziuplę, ale drewno wysycha i budka pęka. Może zginąć cały ptasi miot. Budka nie może mieć ruchomego dna. Te budki, które są lekkie, zrobione ze sklejki, lub płyty wiórowej, do niczego się nie nadają i ptaki je omijają. Budka musi być szczelna i cicha. Gwarantuje to odpowiednia grubość desek 2-3 cm.

Bardzo ważna jest konserwacja budek.

Budki czyści się jesienią. Jest to ważna czynność, którą się wykonuje zwykle w październiku. Ułatwia to odpowiednia konstrukcja. Najbardziej godny polecenia jest model z wyjmowaną przednią ścianką lub z odmykanym daszkiem. Jeśli ktoś tego nie zrobił, to teraz jest ostatni dzwonek. Należy pamiętać, że nieusuwane gniazda są siedliskiem pasożytów i nagromadzone, już po dwóch sezonach wypełniają szczelnie budkę. Ptaki jej już nie zasiedlają. Do wyczyszczonej i zdezynfekowanej budki sypie się świeże i suche trociny.

Ważne! Dno budki powinno być przykręcone od wewnątrz. Przybicie dna od dołu, może się skończyć jego odpadnięciem i zniszczeniem gniazda.

Tylko niektóre gatunki ptaków mieszkają w dziuplach i budkach. A inne?

Budki lęgowe – substytut dziupli, służą jedynie tym ptakom, które zwykle gnieźdzą się w dziuplach. Wiele gatunków buduje gniazda w innych miejscach. Np. w zaroślach, krzewach, na łąkach, pod okapem dachu. Pamiętajmy też i o nich. Możemy stworzyć im warunki dogodne do gniazdowania. Warto na obrzeżach ogrodu posadzić drzewa i krzewy. Ptaki chętnie gnieźdzą się w krzewach takich jak jaśmin, bez, żywopłot z grabów, ligustru, dziczek owocowych. Dzika róża, głóg, tarnina, dziki bez, drzewka owocowe i owocowe dziczki są źródłem owoców i nasion. Są też ozdobą, pięknie kwitną, mają ładne listowie i pokrój. W takich gęstych żywopłotach mogą zagościć: dzwońce, gile, szczygły, makolągwy, strzyżyki, zięby i trznadla, a takie ptaki jak kosy, pokrzewki, kwiczoły, jemioluszkę, drozdy i dzięcioły wpadną tu na przekąskę. Drzewa: jarzębina, dąb, sosna, jawor, klon są dobrym miejscem na założenie gniazda i znalezienie pożywienia.

Czy wiecie, że? Jedna para sikorek z młodymi, w sezonie zjada 75 kg owadów. Jeśli są w ogrodzie ślimaki, turkucie, gryzonie, to, jakich mamy sprzymierzeńców? Najlepszymi łowcami są szpaki, sroki, sójki, kawki, kruki, gawrony.

Zadbajmy o ptaki!

Szczególnie troszczmy się o ich możliwość gniazdowania, ochraniajmy przed największymi wrogami: kotem i kuną. Stwarzajmy dogodne warunki do bytowania, nie szarżujmy z ogrodową chemią. W zimie dbajmy o to, aby nie zabrakło im pożywienia. To są nasi przyjaciele!

Joanna Kowalska-Nowak

Autorka jest z wykształcenia z biologiem. Z zawodu mikrobiologiem, a fauna i flora są jej pasją.

Chętnie odpowie na Państwa pytania i podzieli się swoją wiedzą i doświadczeniem. Kontakt: zalesiedolne@op.pl

* * *

Rozwiązanie zagadki z Nr 3 Gazety.

Co jeż robi w sadzie?

Otóż: Tam gdzie sady, są spady. A w spadach, owady, larwy, gąsienice. Jednym słowem, ucztą dla jeża. Jeż chętnie rozgryzie śliwkę, ale po to, żeby z niej wyjść robaka. We współczesnych sadach, nie ma owadów i robaków, wszystko sterylne i wyjałowione.

Oczami historyka sztuki

Rewolucyjny malarz i teoretyk sztuki z początku XX w. Kazimierz Malewicz twierdził, iż większość ludzi ma przekonanie, że artysta robi rzeczy niepotrzebne i niecelowe, ale ludzie ci nie myślą o tym, że te niepotrzebne rzeczy przetrwają tysiąclecia i pozostaną aktualne, a rzeczy potrzebne i celowe będą trwały tylko kilka dni.

Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, że ze sztuką spotykamy się niemal wszędzie. Aby obcować z dziełami sztuki, nie musimy wybierać się specjalnie do galerii czy muzeum. Sztuka to przecież także architektura, dobry plakat, przedmioty użytkowe czy artystyczne zdjęcia, o ile zaprojektowane są przez artystów i oprócz funkcjonalności odznaczają się walorami estetycznymi.

Przedmiotem badań historyka sztuki są dzieła sztuki, które odbieramy głównie przez zmysł wzroku: jak malarstwo, rzeźba, grafika, architektura a także przedmioty rzemiosła artystycznego, odznaczające się poza funkcją praktyczną walorami estetycznymi. Wszystkie te przedmioty posiadają zorganizowaną formę wizualną (kształt), która w dziejach historii sztuki była uznawana za jeden z najważniejszych jej aspektów. Podstawowym zadaniem historyka sztuki jest więc przekładanie form widzialnych na dyskurs pojęciowy za pomocą porównań czy metafor. Kwestią niezwykle istotną jest pytanie nie tylko o samą formę dzieła, nie tylko, co ono przedstawia, kiedy i przez kogo zostało zrobione, ale z jakich środków formalnych korzystał artysta, do jakich sięgał wzorców.

Na formę dzieła sztuki niezależnie od tego czy jest to obraz, rzeźba czy budowla, oprócz upodobań artystycznych, ma przecież wpływ wiele okoliczności, takich jak: kontekst historyczny, stosunki społeczne panujące w kraju, w którym dzieło powstało, obowiązująca religia, dostępna wówczas wiedza o przyrodzie i rządzących nią prawach. Artysta przy tworzeniu dzieła wybiera taki układ linii, kolorów, kształtów i wielkości, aby jak najlepiej wyrazić jego nastrój i treść. Aby dzieło było harmonijne i zrównoważone, musi brać pod uwagę zarówno wielkość i barwę plam oraz sposób ich rozłożenia na obrazie.

Nie wszyscy pamiętają, że umiejętność rozłożenia światła i cieni w obrazie zw. światłocieniem dającą iluzję trójwymiarowości, zawdzięczamy Leonardowi da Vinci. Artystom renesansu zawdzięczamy też umiejętność oddania trójwymiarowości świata na płaszczyźnie za pomocą perspektywy zbieżnej. Przykładem może być *Ukrzyżowanie* Masaccia czy *Ostatnia wieczerza* Leonarda da Vinci. Leonardo, aby wzmocnić wrażenie głębi uzyskiwanej za po-

mocą perspektywy zbieżnej, wykorzystywał także perspektywę powietrzną i barwną uwzględniającą zmiany, jakim podlegają kształty i barwa przedmiotów w miarę ich oddalania się od patrzącego. Począwszy od baroku, poprzez klasycyzm, romantyzm i realizm artyści wykorzystywali perspektywę malarską, pozwalającą wyrazić przestrzenność za pomocą wrażenia, że barwy ciepłe przybliżają malowany obiekt, a zimne oddalają. Ale już pod koniec XIX wieku francuski malarz Paul Cezanne wprowadził nowy sposób przedstawiania przestrzeni w obrazie, przy pomocy umieszczania planów biegnących w głąb obrazu równolegle względem siebie na podobieństwo kulis teatralnych. Cezanne stosował perspektywę malarską wykorzystującą przestrzenne działanie barw (przestrzeń budował za pomocą kontrastujących kolorów). Zauważył też, że w naturze nie istnieją linie ani bezbarwne cienie „*Czysty rysunek jest abstrakcją .. rysunek i kontur są nierozdzielne, gdyż wszystko w naturze ma kolor.*”

Kolor w malarstwie ma niezwykle ważne znaczenie. Istnieją różne rodzaje barw i różne sposoby ich zestawiania ze sobą. Od wrażliwości i temperamentu artysty zależy sposób nakładania plam barwnych na obrazie, ich wielkość, kształt i obwiedzenie ich konturem. Nie tylko jednak barwa czy forma, ale także faktura dzieła sztuki decyduje o jego wyglądzie czy ekspresji. W okresie klasycyzmu faktura miała być gładka, ale już w wieku XIX Courbet – twórca malarstwa realistycznego, dla podkreślenia walorów swoich obrazów nakładał farby grubą szpachlą.

A tematy obrazów?

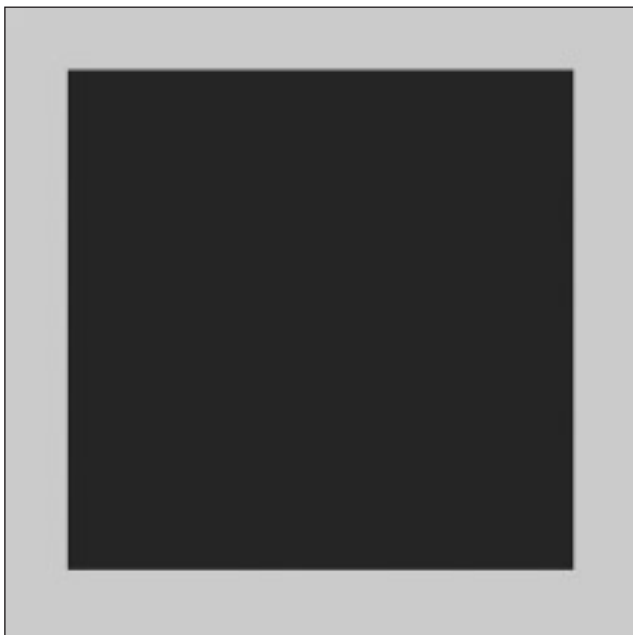
Wiemy także, jak na przestrzeni wieków, w zależności od zmieniających się światopoglądów zmieniała się różnorodność treści wyrażanych za pomocą dzieł plastycznych. Przez wieki wyrażała dominującą ideologię religijną, służyła gloryfikacji władzy świeckiej, ale wyrażała też idee buntownicze walcząc przy pomocy form i obrazów z istniejącym ładem politycznym i społecznym. Niezmiennie istotna była również hierarchia ważności tematów. Za najważniejsze uznawano tematy historyczne i religijne, potem portrety, malarstwo rodzajowe, pejzaż i martwą naturę.

W XIX wieku ta hierarchia uległa zmianie, zwłaszcza po sukcesie malarstwa pejzażowego. Wielu artystów próbowało zmieniać obowiązujące reguły, niekiedy nawet za pomocą rewolucyjnych manifestów, jak realista Gustave Courbet, czy Filippo Marinetti, twórca futuryzmu.

Sztuka XX wieku – od odtwarzania do tworzenia

Dzieło sztuki przestało zastępować czy naśladować rzeczywistość. Stało się tworem autonomicznym, stanowiło nową rzeczywistość. Te wielkie zmiany w sztuce zmusiły artystów do szukania indywidualnego wyrazu. Artyści wykorzystywali rozwijającą się technikę (futuryści) czy psychoanalizę (surrealiści) w realizacjach swoich programów artystycznych.

Podważenie sensu istnienia malarstwa w stanie obecnym i poszukiwanie prawdy poprzez odrzucenie wszystkiego i wyjście od „niczego” zmieniło nie tylko sposób wyrażania sztuki przez artystów, ale i sposób jej odbierania przez widzów. Czy rewolucyjne dzieło Kazimierza Malewicza *Czarny kwadrat*



Czarny kwadrat Kazimierza Malewicza (1913)

na białym tle (z 1913 r.) przedstawia coś konkretnego? Czy artysta chciał nam powiedzieć, że sztuka sprowadza się już tylko do czarnego kwadratu zamkniętego w białym kwadracie? Problem treści dzisiejszej sztuki zdominowanej przez kompozycje abstrakcyjne i sztukę nieprzedstawiającą nie jest już najważniejszy. Tematem jest to, co postrzega odbiorca: kolor, wielkość, kształt i materia dzieła.

Co nam daje obcowanie ze sztuką?

Każdy z nas w indywidualny subiektywny sposób odbiera oglądane dzieło. Dla jednych najważniejsza jest tematyka, dla innych forma, kolor czy kompo-



Portret mężczyzny Jacka Malczewskiego (1913)

zycja. Dla wielu słowo „obraz” kojarzy się z obrazami historycznymi Matejki, portretami Axentowicza czy pięknymi rysunkami Wyspiańskiego, dla nich więc najważniejszy jest temat i forma. Z jednej strony wielki historyczny obraz, a z drugiej delikatne w formie malarstwo, bardzo przyjemne dla oka, nie wywołujące większych emocji.

Obcowanie ze sztuką wzbogaca nasze życie, ale wrażliwym na sztukę możemy być jedynie wówczas, kiedy możliwie często mamy z nią kontakt. Wówczas i postrzeganie obrazów może się zmieniać. Dziś, dzięki mediom mamy większe niż kiedykolwiek możliwości kontaktu z dziełami sztuki. Ale oglądanie w internecie czy telewizji nie może zastąpić kontaktu bezpośredniego. Zmieniające się szybko obrazy, ich nieograniczona ilość powoduje, że po chwili już „ulatują” z naszej głowy. Dopiero, kiedy znajdziemy się w galerii sztuki „twarzą w twarz z obrazem” (cyt. za prof. Marią Poprzęcką), obraz może na dłużej „zamieszkać w naszej głowie”, musimy dać mu na to czas. A chwila zadumy i refleksji pozwala na utrwalenie jego widoku pod powiekami.

Mira Walczykowska

(na podstawie własnego tekstu publikowanego w 2008 r.)

Autorka jest absolwentką Wydziału Historii Sztuki UW i Studium Podyplomowego „Ochrona Dziedzictwa Kulturowego Miast” na Wydziale Architektury PW, Przewodniczącą Rady TPZD, Wiceprezesem „Ład na Mazowszu”.

Szczęśliwy rok Józefa Wilkonია



Artysta podczas pikniku „Lato w ogrodzie Wilkonია”, wrzesień 2010 r. Fot. Justyna Walczak

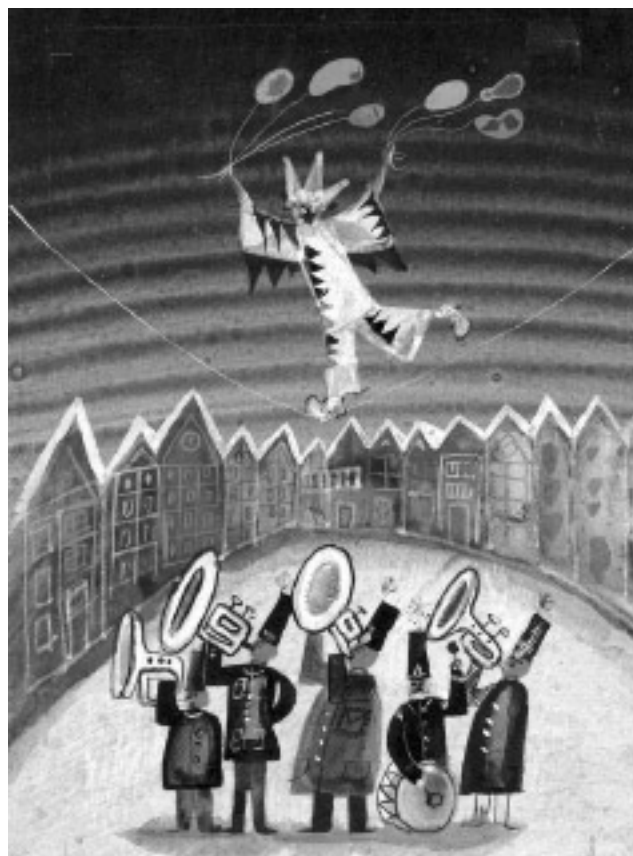
To był naprawdę szczęśliwy rok dla Józefa Wilkonია, znanego na całym świecie artysty malarza, rzeźbiarza, a przede wszystkim ilustratora. Mistrz, który w ubiegłym roku obchodził wspinały jubileusz 80-tych urodzin, doczekał się należnego mu uznania. Za wkład do kultury polskiej Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej uhonorował artystę Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a Fundacja Kultury Polskiej przyznała mu prestiżową nagrodę Złotego Berła. Przypomnijmy, że w poprzednich latach tą nagrodą uhonorowano m. in. Krzysztofa Pendereckiego, Romana Polańskiego, Wojciecha Młynarskiego, Tadeusza Różewicza, Ewę Podlę. Józef Wilkoń jest pierwszym laureatem Złotego Berła z dziedziny sztuk plastycznych „za twórczość pełną subtelnej równowagi pomiędzy perfekcyjną techniką tworzenia i prostotą humanistycznego przesłania”.

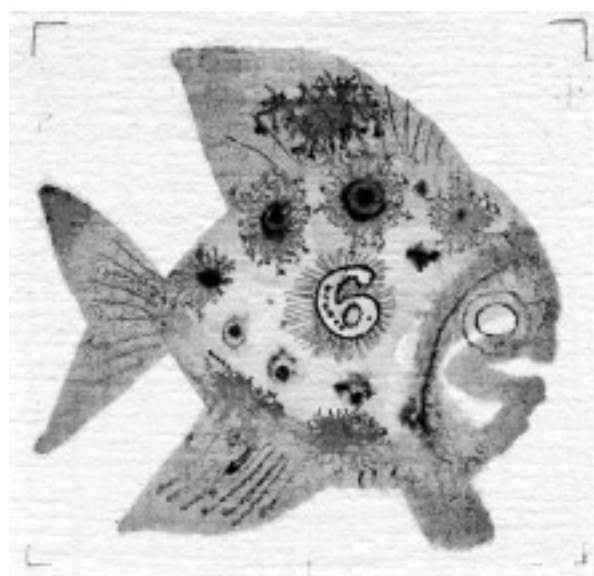
Uroczysta gala miała miejsce 22 listopada w Teatrze Narodowym w Warszawie. Specjalnie na ten cel powiększona scena, stała się jednocześnie instalacją wielkogabarytowych rzeźb artysty. Uroczystości towarzyszył koncert przygotowany przez Józefa Brodę i towarzyszących mu muzyków. Na specjalne życzenie Wilkonिया wystąpił mistrz trąbki Tomasz Stańko. Cały Teatr Narodowy tego dnia zmienił się w wielką salę wystawową. Kilkuśet gości przybyłych z całej Polski i z zagranicy mogło obejrzeć szereg znakomych prac artysty z różnych okresów jego twórczości.

Na rynku wydawniczym w roku ubiegłym mistrz został uhonorowany m.in. nagrodą Polskiego

Towarzystwa Wydawców Książek „Najpiękniejsze Książki Roku” za ilustracje do Księgi dżungli Rudyarda Kiplinga oraz nagrodą Pegazika w kategorii Twórca Książki dla Dzieci.

Józef Wilkoń jest od ponad 40 lat związany z Zalesiem Dolnym. W 2009 roku założył Fundację „Ar-





ka" im. Józefa Wilkonია, aby promować polską sztukę ilustracji. 12 lutego artysta kończy 81 lat.

Aktualnie ilustruje kolejną książkę o Chopinie i przygotowuje się do pracy nad Don Kichotem Cervantesa. Ze względu na niesprzyjającą aurę, prace rzeźbiarskie odłożył do wiosny.

Mistrzu, życzymy Ci dużo zdrowia i weny twórczej z okazji pięknego jubileuszu!

Mira Walczykowska

Tekst ilustrują prace z różnych okresów twórczości J. Wilkonია.

Były Bale

kwintne, ale z jednym ograniczeniem – kucharz nie mógł korzystać z importowanych produktów, tylko wyłącznie polskich. Był to osobisty zakaz prezydenta Mościckiego. Tendencja do promowania Polski prowadziła nieraz do zabawnych nieporozumień.

W 1937 roku doszło nawet do drobnego incydentu dyplomatycznego. Jadwiga Beckowa podejmując śniadaniem ministra spraw zagranicznych Francji zaaranżowała stół – „Na wielkich taflach lustrzanych płynęły śliczne cacka – żagłówki. Wśród nich, po jednej lub grupkami, rozrzucone były (na niewidocznych spodeczkach z wodą) pąsowe gwiazdy kwiatu poncji”.

Leon Noel, ambasador Francji odczytał tę aranżację jako niestosowną próbę zwrócenia uwagi na polskie ambicje kolonialne. „Na śniadaniu u p.p. Becków” tylko okręty i morskie emblematy znajdowały się na stole”. Dekoracja, jak twierdziła później ministrowa, miała stanowić niespodziankę dla jej męża, miłośnika sportów wodnych.

Arystokracja zapraszała gości do swoich wiejskich rezydencji. Łañcut, Nieśwież czy Dawidgródek stanowiły miejsce spotkań dyplomatów z całej ówczesnej Europy. Urządzano huczne bale, przyjęcia i polowania. Jedno z nich tak wspomina Anna z Brannickich Wolska: „...Stał niski stół zbitý ze świeżych desek, a przy nim ławy z cienkich pni brzoźowych. Myśliwi zasiedli na ławach (...) a my roznosiłyśmy kieliszki z nalewką i podawałyśmy bułki z szynką i pasztetem. Potem rozdano talerze na których dymiliły zrazy z kaszą, a wreszcie w filiżankach roznościłyśmy herbatę z czerwonym winem na rozgrzewkę i pomarańcze w wielkich koszach”

W 1936 roku odbyło się warszawskiej Królikarni garden party pod nazwą „Wiosenna sielanka”. Goście wystąpili w kostiumach wystylizowanych na stroje rokokowych pasterzy i pasterek. To było jedno z ostatnich wielkich przedwojennych warszawskich przyjęć. ..

Polacy będą tańczyć nawet na swoim grobie...

Wydawałoby się, że wraz z początkiem wojny dni wesołej zabawy skończyły się na długo. Istotnie, nie odbywały się huczne bale i duże imprezy, ale w domach bawiono się świetnie. Nazywano te spotkania nocnikami, bo z powodu godziny policyjnej goście bawili się do rana. Opowiadają o takich zabawach w swoich wspomnieniach Eryk Lipiński czy Edward Dziewoński. To zresztą ciekawe, ale ze wspomnień ludzi związanych z satyrą, obraz okupacji jest intrygująco dwoisty, patos miesza się z groteską, a z pod

powierzchni tragedii wylania się czas wielkiej przygody i straceńczej zabawy. Młodość w każdej epoce miała swoje prawa.

Jednym zaś z najbardziej patetycznych wspomnień jest zawarty w *Zielu na kraterze* Melchiora Wańkowi-cza opis, jakbyśmy dziś powiedzieli, melanżu czy balanżki, którą urządziła jego córka w przeddzień wybuchu powstania. Lista uczestników, to przejmujący rejestr poległych parę dni później przyjaciół.

Chruszczow wcina uszy

Po drugiej wojnie, podobnie jak po pierwszej, wystarczyło zaledwie kilka lat, a życie towarzyskie zaczęło się toczyć znowu.

Pan Stanisław Maślankiewicz, kuchmistrz doskonały, opowiadał:

– Trzy lata po wojnie robiłem w Jabłonnie przyjęcie na 180 osób. Stoły złożono w piramidkę. A na nich ustawilem ptaki pieczone w całości, przybrane skrzydłami i ogonami, osadzone na wypiekanych z ciasta gniazdach z jajami i młodymi. Łososie podaliśmy w całości, zanurzone w galarecie tak przezroczystej, że widać było płynące obok małe i duże rybki otoczone zielonymi wodorostami. A nad tym udało mi się stworzyć wodospad z galarety, ze specjalnie wypracowanymi bąbelkami powietrza. Iluzja prawdziwego wodospadu była doskonała. Na deser przyrządziłem melbę a la Belle Helene. Przybrałem ją różnokolorowymi owocami i bitą śmietaną. W środku umieściłem żarówkę i przykryłem strzechą kolorowych włosów z lukru grubości 1mm. Samo ciągnięcie włosów trwało dobę

Kucharz tym przyjęciem odreagował pięć lat obozu. To była znakomita terapia dla niego i dla gości. Bawiono się tak, jakby czas nie istniał. Rzeczywistość stalinowska na parę godzin przestała obowiązywać. Wróciły stare, dobre czasy. Niestety, kucharz nie pamiętał, kto wydawał to przyjęcie i jakie były jego konsekwencje. On tylko gotował, gotował, gotował.

Ale był szczęśliwy, jak nigdy. Nawet po całej nocy ciężkiej pracy. Czuł, że tworzy coś ważnego, coś, co jest potrzebne i czego nie będzie mógł znowu zrobić prędko, a może nawet nigdy. Goście, też według jego relacji, robili wrażenie, jakby byli w transie. To był Wyspiański. Aranżacja czy inscenizacja -1948. Przyjęcie, które najlepiej zapamiętał. Najważniejsze.

Później, niestety, nastały lata szare. Owszem urządzano bale, ale dla przodowników pracy. Pan Stanisław komentował je krótko – Nie warto było się starać.

W 1949 pana Maślankiewicza odkryły ówczesne władze, i zaangażowały do gotowania dla elit politycznych. – Bierut był nijaki, miał kłopoty z żołądkiem. Jadał tylko kleiki, krupniczki. Nuda – wspominał kucharz.

Miły był natomiast Rokossowski – jego ulubionym daniem był kulebiak. Jedno w czasie urządzania tych przyjęć było niesympatyczne, oficerowie MBP patrzący przez cały czas na ręce kucharza.

Po roku 1956 przyjęcia się rozkręciły – zaczęły się prywatne bankiety w willach, przyjęcia dyplomatyczne. Znowu wróciły stoły w piramidkę. Płonące kabanosy. Porywające się do lotu bażanty. Zupełnie jak za czasów ministra Becka – rozmarzał się kucharz, gdy opowiadał.

Józef Cyrankiewicz, nasz Petroniusz ery socjalizmu, nie rozstawał się z p. Stanisławem nawet w czasie urlopu. Goście zresztą też mieli coraz bardziej wyrafinowane gusta. Nikita Chruszczow wprost uwielbiał pieczone na ruszcie uszy młodych prosiaczków. Jak był przy apetycie, to biło się nawet 15 sztuk – rozrzewniał się p. Maślankiewicz.

Zresztą Chruszczow jeździł z własnym kucharzem i wszystkich skarmił ukraińską jajecznicą z cebulą i pomidorami. Nawet Gomułkę, który był wiecznie na diecie i normalnie jadał delikatne zupki, pierożki z serem, gotowane mięska. Żadnych szaleństw, poza tą jajecznicą, w ramach braterskiej przyjaźni między narodami.

Jak wiadomo, towarzyszom się nie odmawiało.

Płyn barko do aresztu

Największym przyjęciem lat siedemdziesiątych było otwarcie hotelu Victoria. Serwowano dziki, kuropatwy, bażanty i zające. Perliczki i przepiórki siedziały na gniazdach.

Tylko na szczycie stołu zamiast bażanta stała marcepanowa lala w stroju ludowym. No cóż, taki sam symbol czasów jak miś ze słomy, unoszący się nad Warszawą Barei i Gierka.

W Viktorii bawiły się elity partyjno-polityczne, aktorzy, garstka sportowców i prywatniarzy.

Przyjęcia w domach były skromniejsze na skutek tzw. braków w zaopatrzeniu. Z towarów luksusowych tylko kawior był dostępny w sprzedaży detalicznej. W Delikatesach można go było kupić na wagę za przystępną zresztą cenę. Sale balowe przyozdabiano balonikami i krepiną, oczywiście, jeśli tej ostatniej nie zabrakło akurat w sklepach. Gdy ktoś poszalał wydając przyjęcie czy zdradzając „oznaki

wskazujące na życie ponad stan”, łatwo mógł się znaleźć za kratkami, tak jak to się przydarzyło rodzinie Mentlewiczów, która urządziła szampański bankiet na pływającej barce. Zwróciło to uwagę organów ścigania i gospodarze bankietu znaleźli się w areszcie pod zarzutem wywozu z Polski dzieł sztuki. Jak najbardziej zresztą zasadnym. Taki brak wyrozumiałości u władzy skutecznie zniechęcał do większego rozmachu.

Było cichutko i szarutko.

Wraz z nastaniem trzeciej Rzeczypospolitej wróciły dawne szalone imprezy. A to znany reżyser urządza imieniny w podmiejskiej ciuchci wynajętej w tym celu. A to biznesmen robi party na barkach pływających po jeziorach. Barki trzeba było przetaczać z jeziora na jezioro po specjalnych torach, co podniosło atrakcyjność imprezy, zakończonej hucznym balem – niespodzianką, w pięknym, położonym w lesie pałacu.

I chociaż czasy niby mamy nowe, to uczestnicy i organizatorzy tych imprez proszą: tylko bez nazwisk, jakby ciągle gdzieś tu, unosił się duch czasów gomułkowskich czy gierkowskich, z ich lotnymi inspekcjami robotniczo – chłopskimi. A może to strach przed wszechwładną Izbą Skarbową?

Czasem te ekstrawagancje kończą się zwyczajną plajtą. Tak się stało z właścicielem Art – Deco i organizatorem świetnego balu z początku lat 90, zorganizowanego w teatrze Syrena pod hasłem Zielonego Weneckiego Karnawału czy z panią właścicielką Queen of Saba, która obrzucała swoich gości różami. Te plajty nie mają raczej wiele wspólnego z wydanymi przyjęciami, tylko z ogólną sytuacją gospodarczą, z groźną recesją.

Ich organizatorzy i uczestnicy przynajmniej jednak mają co powspominać. Podtrzymywali długą tradycję. Wnieśli do historii polskich bali swój wkład, swój udział. Tak jak ongiś pani Trypolska.. Może więc jednak było warto?

Chłędowski napisał w pamiętnikach, że Polak będzie tańczył nawet na grobie. I coś w tym jest na rzeczy. Bawimy się wszędzie i zawsze. Więc bawmy się i teraz. Karnawał u drzwi.

Korzystałam z: *W kuchni i salonie* Elżbiety Koweckiej, *Bale i bankiety drugiej Rzeczypospolitej* Mai i Jana Łozińskich oraz pamiętników z epoki.

Manula Kalicka

Autorka jest pisarką i dziennikarką, mieszkanką Zalesia Dolnego i członkiem TPZD.

Reklama – antyreklamą

W naszej przestrzeni publicznej w ostatnich czasach coraz gwałtowniej się zadamawia reklama. Znaczącymi elementami krajobrazu przestają być domy, pomniki czy piękny, naturalny widok. Rozwijający się rynek i rosnąca konkurencja oraz dostępność małej poligrafii niezwykle sprzyjają powstawaniu niekontrolowanemu rynkowi reklam, w tym reklamie wielkoformatowej. Wyrastające przy głównych drogach zwarte szeregi plansz, a co kilkaset metrów wielkie słupy ogłoszeniowe przysłaniają lasy i pięknie kwitnące łąki. Coraz częściej, zamiast detalu starej kamienicy, widzimy krzykliwą reklamę pt. „Świat piżam”. Parkany, ogrodzenia parkanów domów, wolne ściany i przestrzeń nad ulicami, stanowią niczym nieograniczoną pokusę, wręcz wyzwanie, do zapełnienia ich przez obrotowego producenta jakimś kolorowym, mniejszym lub większym, brzydkim lub ładniejszym bannerem.

W 2009 r. stowarzyszenie *Moje Miasto A w Nim* wydało album *Polski outdoor*. Album stanowi bardzo bogaty zbiór zdjęć wszechobecnych reklam, zalewających każdy zakątek naszego kraju. Zestawienia niektórych reklam pokazują ich absurdalną treść. Nie jest ona tak oczywista, gdy stykamy się z pojedynczymi przypadkami, ale w masie czyni ją wręcz **antyreklamą**. Część ilustracyjna oraz komentarze autorów, poza tym, że budzą ogrom różnorodnych refleksji, zmuszają nas do postawienia wielu pytań. Czy i kto jest odpowiedzialny za to zaśmieszanie naszej, wspólnej przestrzeni i naszej wyobraźni. Następnie, kto jest autorem tych reklam, kto za to płaci i kto na tym zarabia?

Szukając odpowiedzi na te pytania, stowarzyszenie *Moje Miasto A w Nim* od 2007 roku zbiera materiały i przepisy, stara się tym problemem zainteresować władze ustawodawcze i wykonawcze. W swoich wy-

stawieniach członkowie stowarzyszenia wskazują, że komercyjne wykorzystanie przestrzeni publicznej jest praktycznie bezpłatne, że postępującej w sposób niekontrolowany degradacji naszego otoczenia sprzyja brak przepisów, a chodzi m. in. o ograniczenia dotyczące wielkości reklam, brak miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego (lub ignorowanie jego przepisów, tak jak w przypadku Zalesia Dolnego – dopisała Redakcja), brak instytucji opowiedzianej za kontrolę reklamy zewnętrznej. O tym, że dyskusja na temat jakości otaczającej nas przestrzeni budzi żywy oddźwięk świadczą przytaczane wypowiedzi znanych osób ze świata kultury, sztuki, nauki czy życia społecznego. Jak sami autorzy we wstępie do albumu podkreślają: „Nie walczyliśmy z reklamami, wręcz przeciwnie, uważamy, że są nieodłącznym składnikiem naszej kultury i kołem zamachowym gospodarki. Muszą mieć jednak swoje starannie przemyślane miejsce z korzyścią dla nas wszystkich, dla jakości przestrzeni publicznej, paradoksalnie dla samych reklamodawców. Dziś, by być zauważonym i przebić się przez wizualny harmider, trzeba zaangażować naprawdę olbrzymie siły i środki.” A dodam od siebie – również talent, wycucie estetyczne oraz odrobinę zdrowego rozsądku.

Wszystkim, a szczególnie tym „których dotknęło nieszczęście wrażliwości estetycznej” polecam album Elżbiety Dymnej i Marcina Rutkiewicza *Polski outdoor – reklama w przestrzeni publicznej*. Wydawnictwo Klucze, Warszawa 2009.

Ewa Domaradzka
Fot. Artur Koliński

Autorka jest Prezesem Stowarzyszenia
Związek Podkowiec, mieszkanką Podkowiec Leśnej



Czystość – potrzebna współpraca

Odwilż w pierwszej połowie stycznia i obserwacja naszej przestrzeni publicznej zainspirowały mnie do działań i przemyśleń na temat czystości tejże przestrzeni. Śmieci widać było wszędzie: na poboczach ulic, w rowach, w lasach, na placach zabaw. Dziś znów przykrywa je śnieg, ale pod tym śniegiem czekają one na wiosnę. Czy możemy winą za ten stan obarczać tylko służby miejskie?

Plac zabaw w Zalesiu Dolnym

Postanowiłam interweniować w sprawie czystości na placu zabaw w Zalesiu Dolnym przy ul. Kopernika. O ten plac zabaw dbam od pewnego czasu. Niestety powstał on w dość karłowatej formie (są tu tylko cztery zabawki, nie jest zamykany na noc) i w związku z tym w niewielkim wymiarze służy dzieciom do zabawy. Gromadzi za to starszych miłośników innych zabaw, których skutki są opłakane dla przestrzeni tego placu. Zabawki są zdewastowane, a plac permanentnie pełen śmieci. Nigdy jednak jeszcze nie było tu takiego składowiska śmieci jak na początku stycznia.

Na przywitanie Nowego Roku młodszym i starszym użytkownikom plac ten oferował możliwość siedzenia na ławkach wśród butelek, puszek, plastikowych toreb, papierów i niedopalków papierosów. Bujanie się na koniku w kałuży pomiędzy butelkami. Wyskakiwanie z karuzeli na potłuczone szkło i inne tego typu atrakcje.

Stan placu smuci mnie tym bardziej, że zlokalizowany jest w jednej z najpiękniejszych części Piaseczna. Obszar Zalesia Dolnego z pewnością mógłby służyć wszystkim mieszkańcom Piaseczna jako miejsce rekreacji (spacery, Nordic Walking, bieganie, rower, rolki, biegówki, saneczkarstwo, plac zabaw) pod warunkiem większej dbałości o przestrzeń publiczną.

Interwencja

Skontaktowałam się z Wydziałem Utrzymania Terenów Publicznych Urzędu Miasta i Gminy Piaseczno. Poinformowałam o stanie czystości placu zabaw w Zalesiu Dolnym i poprosiłam o interwencję. Następnego dnia ra-

no służby porządkowe uprzątnęły plac i teren wokół niego.

Odpowiedź

Za trzy dni plac zabaw w Zalesiu Dolnym wyglądał, jak przed interwencją służb porządkowych – znów pełen był śmieci.

My Gmina

Gminą jesteśmy my, mieszkańcy. Samorządowi (i lokalnym służbom publicznym) zaś przekazujemy wykonywanie pewnych zadań w naszym imieniu. Przekazujemy też środki finansowe na ich realizację w postaci części naszego podatku dochodowego. Im więcej zarabiamy, tym większą kwotą dysponuje samorząd gminy, do której przekazujemy nasz podatek.

Samorząd może tym lepiej dbać o przestrzeń publiczną i potrzeby gminy, im więcej ma środków finansowych (i oczywiście mądrych włodarzy). Nic w gminie nie dzieje się zatem bez naszego, mieszkańców udziału. Od nas pochodzą środki na działania władz, od nas także pochodzi informacja o naszych potrzebach. Nasze potrzeby są, a przynajmniej powinny być, kierunkowskazem w działaniach władz lokalnych.



Plac zabaw w Zalesiu Dolnym

Współpraca w dbaniu o czystość przestrzeni publicznej

Optymalnym rozwiązaniem wydaje się wspólne dbanie o czystość przestrzeni publicznej: mieszkańców i samorządu terytorialnego. Śmieci przy ulicach, w lasach czy na placach zabaw nie biorą się znikąd i bez naszego mieszkańców udziału. Dlaczego w miejscach publicznych jest tyle śmieci? Dlaczego w lasach powstają całe ich składowiska? Oczywiście moglibyśmy powiedzieć, że system sprzątania w gminie jest nieefektywny, że są tu braki, niedociągnięcia organizacyjne. Ale to i tak byłaby tylko strona medalu. Druga strona to nasza, mieszkańców, postawa w stosunku do przestrzeni publicznej.

Nadal pokutuje przekonanie, że jeśli coś jest publiczne (plac zabaw, rów, pobocze drogi, chodnik, las) to jest niczyje. A przecież to jest nasze! Nam służy i jest przez nas utrzymywane! Władze lokalne muszą podjąć decyzję: czy przeznaczyć więcej środków finansowych na sprzątanie przestrzeni publicznych (bowiem normą społeczną jest wyrzucanie przez mieszkańców śmieci gdziekolwiek, ale mają oni potrzebę, aby było czysto), czy też np. dostawić nowe zabawki na placu zabaw. Ta decyzja tak naprawdę zależy od nas.

Katarzyna Obłakowska-Kubiak

Autorka jest socjologiem, Radną Powiatu Piaseczyńskiego, członkiem Piaseczyńskiej Grupy Obywatelskiej i Partnerstwa dla Zrównoważonego Rozwoju Powiatu Piaseczyńskiego, mieszkanką Zalesia Dolnego. Kontakt: k.oblakowska-kubiak@wp.pl

DLA MŁODSZYCH I STARSZYCH

Moje sny o Jezusku

Sen I

Ogromne, czerwone słońce zachodzi za las.

Puszysty, biały, jak piana morską, śnieg zakrywa wszystko.

Wrony kraczą: – Kra! Kraaaaa! Kra!

Zimno .. Ach, jak lodowato!

Z daleka słychać wieczorne dzwony: Bim! bam! bam! bim ! bam!

Bam!.....

Patrzę w dal i widzę na polu coś szarego. To postać dziecka.

Idzie. Zbliża się. A za głową małe, złote słoneczko promienne. A na dziecku szary płaszcz. Spod płaszczyka bosa nóżka widać. Różowe, małe palce ledwo dotykają białego śniegu.... Twarz słodka, a oczy...

To bosko miłosierne oczy! To wymarzony mój Jezusek!

Bim! bam! bam ! bim! bam! Bam! Na Anioł Pański biją dzwony.

A On idzie przez pole.... Patrzę zachwycona... Tak, tak właśnie wyobrażałam sobie Ciebie z czasów, kiedyś był chłopczykiem.

Wtem schylił się . Coś podnosi? Co ? Czy szary zimny kamień? Czy grudkę ziemi? Nie kamień to i nie ziemia, tylko zajaczek z zimna skostniały, sztywny prawie i ledwie, ledwie żywy.

Miękka rączką gładzi go Jezusek, chucha, ogrzewa, rozciera i płaszczkiem okrywa. I tak żałuje biedaka!

I oto cieplej się zrobiło szaraczkowi. Uszkami rusza. Łapkami po pysiu się gładzi, jak kotek mały, który się ze snu budzi.

Postawił go Jezus na śniegu i patrzy z uśmiechem, jak mały zmarzlak kicu, kicu z miejsca rusza. Ale wolno, wolniutko Szarusz podskakuje.

Klasnął Jezus w rączki i w głos się rozśmiał, widząc, że zajac co sił pomknął i tylko skokami srebrzysty śnieg wyrzuca wysoko – Zgrzałeś się, Szarusz? – woła za nim Dziecko – zgrzałeś?

Nie zimno ci już – nie?

Znikł w srebrnym pyle śnieżnym zajac.

Znikł w srebrnej mgłę mój pierwszy sen o Jezusku.....



Helena Radwanowa

Autorka była jedną z pierwszych mieszkanki Zalesia Dolnego. W latach 1917-26 była redaktorem naczelnym „Płomyka”, dwutygodnika dla dzieci i młodzieży. W okresie okupacji razem z Ewą Krauze prowadziła w Zalesiu Dolnym tajne nauczanie. Zmarła w 1944r. Była wspaniałym pedagogiem i dobrym, ciepłym człowiekiem.

Helena Radwanowa była również autorką wielu pięknych książeczek dla dzieci, w tym cyklu prozy poetyckiej pt. *Moje sny o Jezusku*, który został opublikowany w 1935 r.

W następnych numerach gazety przedstawimy Państwu kolejne sny o spotkaniach autorki z małym Jezuskiem.

Na fotografii archiwalnej Helena Radwanowa, lat 10

Na wciąż jeszcze długie i zimowe wieczory polecamy Państwu do lektury:

- **„Mazowsze 24” Grzegorza Kostrzewy-Zorbasa.** Znajdziecie w niej Państwo m. in. rozdział pt. „Piaseczno – nieoszlifowany diament”.



Niewielu jest dziś działaczy samorządowych którzy potrafią porywać śmiałością swoich wizji i zarażać wiarą w szanse rozwojowe swojego regionu. Grzegorz Kostrzewa-Zorbas jest pod tym względem wyjątkiem. Jego książka „Mazowsze 24” (Oficyna IM-BIR, Warszawa 2010) urzeka przede wszystkim wizjonerstwem autora i przekonaniem,

że Centralne Mazowsze jest nasycone wielkimi możliwościami rozwojowymi, które trzeba tylko rozpoznać i wykorzystać. Zaletą spojrzenia Kostrzewy-Zorbasa jest też przekonanie, że przyszły rozwój trzeba budować na tym, co już jest, co stanowi żywą tkankę regionu, na jego naturalnych bogactwach. Autor skupia się przede wszystkim na bogactwach „miękkich”, a więc na dziedzictwie historii Mazowsza, na jego walorach krajobrazowych, potencjale turystyczno-uzdrowiskowym, na edukacji, kulturze. „Mazowsze 24” to nie jest wizja potężnych inwestycji mających gruntownie przeobrazić region i uczynić zeń coś zupełnie nowego; jest to wizja rozsądnych inwestycji i budowania na już istniejących zasobach. Szczególna rola w bardzo nowoczesnym spojrzeniu Kostrzewy-Zorbasa na Mazowsze przypada miastom-ogrodom. Najważniejszym lekarstwem na mazowieckie bolączki może być – zdaniem autora książki – świadoma społeczność mieszkańców, rozumiejąca potrzeby i specyfikę regionu i działająca zgodnie z zasadami społeczeństwa obywatelskiego. „Mazowsze 24” to świetny wstęp do dyskusji o kierunkach rozwoju Centralnego Mazowsza, znakomity remanent jego możliwości i szans. Na temat konkretnych rozwiązań – na przykład komunikacyjnych czy organizacyjnych – proponowanych przez Kostrzewę-Zorbasa powinni się wypowiedzieć specjaliści. Zapewne padną w tej dyskusji także odmienne zdania. Ale ludzie zaangażowani w przyszłość swojego regionu nie mogą tej książki zignorować.

Zbigniew Zawadzki – wydawca

- **„Gdzie jest głowa Emily Kaye?” Manuli Kalickiej,** to zbiór sensacyjnych historyjek opartych na autentycznych wydarzeniach sprzed lat.



Na czytanie kryminałów snobują się obecnie niemal wszyscy, zatem autorzy prześcigają się w tworzeniu zawikłanych intryg. Nie od dziś jednak wiadomo, że najlepsze historie wymyśla życie. Nie wierzyć? Sięgnijcie zatem po ten zbiorek

pitawali czyli opisów słynnych niegdyś przestępstw. Przeczytacie tu o zaginionej głowie pewnej panny uśmierconej przez kochanka. O eliksirze miłosnym, który nie poszedł nikomu na zdrowie. O furtce podpartej kością udową ofiary. O ministrze, którego urzędowanie trwało tylko jeden dzień. O tajemnicy drzemącej w duszy pocziwej nauczycielki ze szkoły niedzielnej. O tym, dlaczego słynny hollywoodzki aktor Fatty Arbuckle zrezygnował z pokazywania się na ekranie. Wszystko zdarzyło się naprawdę, w Europie i Ameryce, w pierwszej połowie XX wieku. Manula Kalicka wyszperała te historie, po czym dodała im smaku, dowcipu oraz osadziła w ówczesnej rzeczywistości. Otrzymujemy w ten sposób osiem opowieści o frapujących morderstwach, dziwacznych sprawach, nieoczywistych motywach, nieoczekiwanych sposobnościach oraz zagmatwanych śledztwach. Osiem opartych na faktach opowiadań kryminalnych, z których każde mogłoby stać się materiałem na pełnowymiarową powieść. Przednia zabawa.

Anna Fryczkowska – recenzentka Time Polska

Wolność nauczania i wyrażania opinii w książkach i prasie stanowi podstawę zdrowego i naturalnego rozwoju każdego społeczeństwa.

Albert Einstein (1979–1955)